Nr. 4. Rok II.

We Lwowie 20. Stycznia 1883.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY

wychodzi od 1. października 1882 co sobotę w objętości półtora arkusza w okładce.

Przedpłata na **„ZIARNO“** wynosi:

W miejscu rocznie: 12 zł. — na prowincji: 13 zł.

„ kwartalnie: 3 „ — „ 3 „ 25 ct.

Nowi prenumeratorowie kwartalni otrzymają pierwszy kwartał „Ziarna“ za połowę ceny.

Dla ułatwienia zaprowadzamy prenumeratę miesięczną w kwocie **1 zł. 10 ct.** w miejscu, a **1 zł. 15 ct.** na prowincji.

Na okładce każdego numeru umieszczamy INSERATY po 5 ct. od wiersza petytem.

Prenumeratę tak miejscową, jak z prowincji przyjmuje:

Administracja „ZIARNA“ w drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie ul. Halicka l. 46.,

tudzież wszystkie księgarnie.

PP. Autorowie i nakładcy, którzy sobie życzą mieć ocenę swych dzieł w „ZIARNIE,“ raczą nadesłać redakcji egzemplarze wydanych książek.

Administracja **„ZIARNA“** uprasza pp. Abonentów, którzy zalegają dotychczas z bieżącą przedpłatą **o rychłe jej odnowienie**, by można ostatecznie uregulować wysokość nakładu. Ktokolwiek z Szan. Czytelników nie zamierza prenumerować „Ziarna“ od 1. bm. nadal — upraszamy, aby go można wykreślić wcześnie z księgi prenumeratorów, o łaskawe i jak najszybsze **zwrócenie otrzymanego 1go numeru**.

Nr. 4. We Lwowie dnia 20. Stycznia 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta.** Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński**

Prenumerata na „Ziarno“
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości $1^1/_2$ arkusza. Adres redakcji i administracji „Drukarnia Dziennika Polskiego“ Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

Literacki nasz dorobek

w porównaniu
z ościennymi narodami.

Stary Pitagoras już powiedział, że cyfry rządzą światem — my dziś powiemy, że nie rządzą, lecz są określonym i ścisłym wyrazem stosunków, które przedstawiają. Przyznają też nam czytelnicy, że niewymownie ciekawą jest rzeczą dowiedzieć się, jak też w świetle owych cyfr wygląda roczna nasza produkcja dziennikarska i książkowa — wiadomość ta przytem stanie się tem dla nas ciekawszą i tem więcej mówiącą, gdy rezultaty naszej produkcji umysłowej, uwidocznione czarno na białem, porównamy z produkcją tejże kategorji innych narodów, w nieco przynajmniej podobnych z nami żyjących warunkach.

Dobrze to jest, od czasu do czasu zaglądać w podobne zestawienia — stokroć lepiej, niż dusić się w gęstym dymie kadzideł, które sami wsypujemy do trybularza, funkcjonującego przed naszemi własnemi ołtarzami, i lepiej równie poradzić się cyfr, niż udrapowawszy się w pessymistyczną togę, rzucać fajerwerkowe gromy na to, o czem się nie ma dokładnego pojęcia.

Żałujemy, że bilans nasz literacki za świeżo ubiegły rok jesze nie zamknięty, za rok jednak zaprzeszły, 1881, posiadamy go w całej pełni, wraz z porównawczemi zestawieniami, dzięki p. Kornelemu Heckowi, którego sumienną nader rozprawę, świeżo wyszłą we Lwowie p. t. „Bibliografia Polska z roku 1881.“ mamy właśnie pod ręką. Dobrze rekomendujący się swym literackim debiutem młody autor rozprawy, nie poprzestał jednak na ułożeniu własnego naszego bilansu, lecz porównał go z ruchem literackim za tenże czas w Czechach, na Węgrzech i w Rosji. Okoliczność ta czyni pracę jego tem cenniejszą, dodać przytem należy, że autor starał się nawet porównawczy zakres swej pracy dalej jeszcze rozszerzyć, wywody przytem swe pracowicie ułożył w odpowiednie tablice.

Spieszymy tedy zapoznać czytelników naszych z najważniejszemi wynikami tej interesującej pracy.

Autor dzieli słusznie całą produkcję piśmienniczą na dwa wielkie działy: prasa perjodyczna i wydawnictwa książkowe. Nader przytem racjonalnie stawia p. Heck ruch piśmienniczy, szczególniej zaś dziennikarski w zawisłości od czterech głównie, najsilniej wpływających nań, warunków. Warunkami temi są: samodzielny byt polityczny, swobody konstytucyjne, oświata i dobrobyt. Mając na uwadze te wpływy, łatwiej zrozumiemy każdoczesny stan produkcji umysłowej w każdym narodzie.

Zaczynajmy od nas samych. Przystępując do zobrazowania naszego piśmienniczego dorobku, musimy przedewszystkiem traktować każdą z trzech wielkich dzielnic, zamieszkiwanych przez nasz naród oddzielnie, następnie zaś dopiero zebrać to w summę ogólną. Tak też postępuje i autor „Bibliografii polskiej z r. 1881.“ Nader różne warunki, w jakich znajduje się każda z naszych dzielnic, odcisnąły też wybitne piętno i na produkcji literackiej polskiej. Uwzględniwszy tę dopiero okoliczność, zająć się możemy porównaniami.

Otóż naprzód w krajach polskich pod panowaniem pruskiem, na 2,700.000 zamieszkałej tam ludności polskiej, wychodziło 30 tylko czasopism, wypada więc 1 czasopismo na 90.000; w ziemiach polskich pod panowaniem austrjackim wychodziło na 3,238,534. przyznających się do narodowości polskiej 87 czasopism, co stanowi 1. czasopismo na 37.225 mieszkańców; w krajach wreszcie polskich pod panowaniem rossyjskiem, na 7,100.000 ludności polskiej wychodziło 85, czasopism, czyli 1 czasopismo na 85.880 mieszkańców — razem wychodziło w r. 1881. na 13.638,534 polaków 202 pism polskich, z czego wypada 1 pismo na 64.540 polaków.

W tymże czasie wychodziło czesko-słowackich pism ogółem 182, na 7,031.000 ludności, t. j, 1 pismo na 38.630 mieszkańców. Widzimy więc, że Czecho-słowacy o połowę mniejsi liczebnie od nas, równą prawie posiadali liczbę czasopism.

Jeszcze korzystniej wypada cyfrowy rezultat dla Węgrów. Węgrzy, liczący wszystkiego 6,400.000, posiadali w tymże czasie 224 czasopism, t. j. 1 pismo na 28.400 mieszkańców.

Piśmiennictwo perjodyczne rossyjskie o wiele przewyższa naszą cyfrę bezwzględną, jest jednak słabo jeszcze, stosunkowo do ludności i zamieszkiwanych przez nią obszarów, rozwinięte. Na 44,600.000 ludności wielkorossyjskiej wychodziło 489 czasopism t. j. 1. pismo na 91.200. Ostatni ten stosunek wypadnie o wiele niekorzystniejszy, jeżeli zwiększymy po za granicę

wielkorossyjskiego plemienia ludność, czytającą w języku rossyjskim.

Z innych jeszcze literatur — Rusini z Przed i Zalitawii, na 3,150.600 ludności posiadali pism 17, co stanowi 1 pismo na 185.360 mieszkańców.

Nie będziemy szczegółowo tłumaczyć, dlaczego dochodzimy do takiego, a nie innego cyfrowego rezultatu, czytelnicy bowiem, pomnąc na ogólne przyczyny, wpływające na wzrost lub upadek piśmiennictwa, sami sobie tę sprawę łatwo wytłumaczą.

Przejdziemy natomiast do szczegółów.

Przedewszystkiem co do rozmieszczenia czasopism w interesujących nas tu krajach, notujemy, że z ogólnej liczby czasopism, w Poznaniu wychodziło 18, w Krakowie 17, we Lwowie (51 i 14 ruskich,) w Warszawie 78. W Pradze wychodziło tyleż, ile w Warszawie. 78. W Peszcie 115, w Petersburgu 204, w Moskwie 59., w Kijojowie 15., w Odessie 14. Polskie czasopisma wychodziły w 28. miejscowościach, czeskie w 52., węgierskie w 66., rossyjskie w 90.

Co do rodzajów czasopiśmiennictwa — polskich było ogółem: 59 politycznych i społecznych, 36 belletrystycznych, 51 naukowych, 10 ludowych; czeskich: 58 polit. i społ., 24 belletryst., 28 naukowych, 10 ludowych — prócz tego 20 agronomicznych, gdy my posiadaliśmy tylko 5 pism tej kategorji; węgierskich: 92 polit. i społ., 22 belletr., 40 naukowych, 14 ludowych; rossyjskich: 161 polit. i społ., 48 belletr., 123 naukowych, 11 ludowych. Pism codziennych było: polskich 21, czeskich 7, węgierskich 22, rossyjskich 58.

Mówiąc dotąd o ilości pism, wychodzących w danym kraju, mieliśmy na uwadze tylko przeważającą w nim narodowość, żaden jednak kraj dziś wyłącznie przez jedną narodowość jest zaludniony, niektóre przytem narodowości, wsparte szczególniej hegemonią państwową, jaką posiadają nad innemi narodami, a nadto jesze wyższym zwykle stopniem kulturnego i cywilizacyjnego rozwoju, daleko po za właściwe swe etnograficzne granice rozszerzają wpływ swego piśmiennictwa, i posiadają stosunkowo znaczną liczbę pism perjodycznych w krajach, w których etnograficznie stanowią niewielką ilościowo mniejszość.

W krajach państwa rossyjskiego narodowość wielko-ruska ma za sobą przewagę państwową a w części i cywilizacyjną, w Austro-Węgrzech, niemiecka korzysta z państwowego i cywilizacyjnego uprzywilejowanego stanowiska. W Austro-Węgrzech w ogóle na 9,888.864 narodowości niemieckiej wychodziło ogółem 915 czasopism, gdy inne narodowości w tych granicach zamieszkałe, na 27,547.545 ludności posiadały tylko 655 pism perjodycznych (224 węg. 182 czes. 87 pol. 58 włosk. 104 innych) podczas więc, gdy Niemcy stanowili tylko 26.98 zaludnienia, czasopiśmiennictwo, ich w tychże granicach stanowiło 64.7 proc. ogólne liczby.

Rozpatrując tę rzecz szczegółowej widzimy, że w niemieckich prowincjach, Austrji niższej i wyższej, na blisko 2.900.000 ludności niemieckiej wychodziło 500 zgórą czasopism, reszta zaś t. j. przeszło 400 wychodziła w krajach, częściowo tylko niemieckich, lub zupełnie nie niemieckich, i te przytem, które wychodziły na ziemi niemieckiej, miały wielu czytelników wśród innych narodowości, hegemonii niemieckiej podległych.

Ostatnia przytem cyfra, rozkładała się na pojedyncze kraje i prowincje w ten sposób, że na Węgrzech, na 1,850.000 narodowości niemieckiej, wychodziło 95 czasopism niemieckich (o 10 blisko więcej niż polskich w Galicji), w samym zaś Peszcie było ich 48. W samych Czechach, na 2,054.174 niemców było 127 czasop. niem. W Morawie. posiadającej 628.907 narod. niem. było 46 czasop. niem., podczas gdy 1.511.913 narod. czeskiej, tamże zamieszkałej miał ich tylko 20. Na Bukowinie na 108.820 niemców było 11 pism niem. i 3 w innych językach (1 pol. 1 rum. i 1 rus.) na 459.639 innych narodowości. W Galicji, na 324.336 ludności niemieckiej (żydowskiej przeważnie) wychodziło tylko 6 czasop. niem., wiedeńskie jednak czasopisma nader pokaźną niewątpliwie mają w niej cyfrę czytelników.

W Wielk. ks. Poznańskiem panują stosunki podobne do austrjackich, gorsze jednak dla nas znacznie, niż w Galicji. W dzielnicy tej, na 750.000 ludn. niem. a 1,000.660 polsk., wychodzi 66 pism niemieckich, a tylko 19 polskich; w samym Poznaniu na 17 niemieckich tylko 13 polskich. W Królestwie Polskiem ludność niemiecka nie zajmuje dominującego stanowiska; na kilkakroćstotysięczną ludność niemiecką tej dzielnicy wychodzi 1 tylko pismo niemieckie, (w Łodzi,) przy 85 polsk. 17 rossyjsk. i 2 hebr. W Rossji natomiast europejskiej, bez W. ks. Finlandzkiego i Król Pol. z prowincjami natomiast Nadbałtyckiemi, na 756.000 niemców wychodzi 48 czasopism niemieckich.

Dla porównania dodamy, że Anglicy posiadają w ogóle 16.000 czasopism, Niemcy 7.200, Francuzi 3.700. Hiszpani 1.600, Włosi 1.500.

Pozostaje nam jeszcze do zaznaczenia statystyka literatury książkowej. Otóż w r. 1881. wyszło dzieł polskich, ogółem 1.377 z czego pod panowaniem pruskiem 84, pod austrjackiem 632, pod rossyjskiem 648, po zatemi granicami 6. Z miast stołecznych: w Poznaniu wyszło 61, w Krakowie 361, we Lwowie 205, w Warszawie 545. w Wilnie 62, Ogółem 1 dzieło polskie przypada na 9.480 polaków.

Dzieł w języku czesko-słowackim wyszło w tymże czasie 805, w węgierskim 1.578 w rossyjskim 4.124.

Ciekawą jest jeszcze statystyka różnych działów wydawnictw książkowych. We wszystkich literaturach, tu rozpatrywanych, przeważają dzieła treści teologicznej i belletrystycznej. W języku polskim mieliśmy 199 teol. 284 belletr. Dalej dopiero idzie literatura naukowa, w której znowu historja, archeologia i literatura zajmuje wybitne miejsce. My mieliśmy w r. 1881 162 dzieł w tym dziale. W dziale nauk politycznych i społecznych mieliśmy dzieł 98.

Na tem kończymy. Podaliśmy same cyfry prawie czytelnicy jednak sami sobie z nich wnioski wysnują.

„Illegitimi Thori“.

Szkic powieściowy

przez

J. Estwoyna.

(Ciąg dalszy).

Mijał rok po roku, Jędruś rósł, jak to mówią niby bułka na drożdżach, choć uczył się i pracował za trzech, a „na stancji“ u pani Müllerowej na wszystko inne można było uskarżać się raczej, niżeli na zbytek jadła. Otyła pani komisarzowa—tak bowiem tytułować się kazała, choć ś. p. pan Müller był pono tylko kancelistą całe życie — sama jadła często i wiele, powierzonym jednak jej pieczy studencikem nigdy nie dała sposobności do jakiejś niedyspozycji, skutkiem przeładowania żołądka. Sumienie jej na to nie pozwalało, wszak zastępowała im matkę! Zresztą konwiktorami jej były dzieci samych chudopachołków, którzy ściągali się z ostatniego, aby co pierwszego posłać jej po kilkanaście reńskich od „sztuki“ a z takiego funduszu, przy znanej od jakich lat dwudziestu drożyźnie lwowskiej, ani myśleć o dostatniem utrzymaniu choćby dziesięcioletniego chłopaka. Nadto za Jędrusia pan Piotr płacił ledwie dziesięć złotych miesięcznie a i to stanowiło dlań znaczny wydatek przy skromnej pensji nauczyciela ludowego.

Nie dziwna zatem, że Jędruś co dzień kładł się głodny — co jednak wcale nie zmniejszało jego zapału dla książki i nauki.

Gdy się skończył rok szkolny, zawsze z pierwszą lokacją wracał do miasteczka na wakacje. Pan Piotr był dumny z sieroty, po całym świecie — wyjąwszy oczywiście dom pani pocztmistrzowej, rozgłaszał niezwykłe zalety Jędrusia, i po niejakim czasie — a sierota ani marzył pewnie o tem, był on bohaterem, stawianym często jako przykład i wzór starszym odeń lub młodszym chłopakom nieukom.

Zaledwie dostał się do czwartej gimnazjalnej, choć dopiero trzynastoletnie chłopię, pracować postanowił sam na swoje utrzymanie. W tym celu zaraz na początku roku szkolnego, wynalazł sobie lekcję na przedmieściu u niezamożnego rzemieślnika, gdzie za „mieszkanie, wikt: i pranie, obowiązany był uczyć trzech chłopaków, dwóch w szkole normalnej a jednego już w pierwszej gimnazjalnej. Ciężkie przyjął, biedak zadanie, bo za otrzymany kawałek chleba i kącik w warstacie, musiał prawie wszystek wolny czas po za godzinami szkolnemi, poświęcać dla niesfornych elewów, którzy zdaje się, jedynie nad tem przemyśliwali zwykle dzień cały, jak się dostać najłatwiej do gniazda wróblego, w strzesze lub na topoli w ogrodzie, albo w którą stronę urządzić wyprawę na „wojnę". Taka „wojna", w języku malców to bójki codzienne z pauprami żydowskimi. Rzecz wiadoma, że żak każdy u nas jest wrogiem zaciętym dwu stworzeń na ziemi: żyda i wróbla. Jest *to* bądź co bądź objaw dość charakterystyczny...

Uczniowie Jędrusia, jak nadmieniliśmy wyżej, nie stanowili wyjątku z reguły, i ile wróbli młodych rok rocznie padło ofiarą ich drapieżnego czy złośliwego tylko instynktu, a równocześnie ile guzów i sińców oberwało się tchórzliwym ich rówieśnikom starego zakonu, chyba by nie policzyć tak łatwo! Za to do książki mając wstręt niezmierny, daremnie tylko buty psuli na codzienną wędrówkę do odległej szkoły. Jędruś podjął się był poprawić ich i do nauki wciągnąć, i mimo że sam był tak młody jeszcze — a być może właśnie dla tego, — udało mu się w krótkim czasie wpłynąć na rozpuszczonych dzieciaków tak korzystnie, że ojciec ich p, Wawrzyniec Kaczka, po kilku miesiącach oczu swoim nie wierzył, widząc u „wierutnych hultajów" w miejscu dawnej pustoty, pilność i statek niebywały. Ile to kosztowało pracy Jędrusia, zgadnąć łatwo. Nocami uczył się z pożyczanych książek, bo swoich nie miał — a dnie całe trawił częścią w szkole, a zresztą przy bakałarzowaniu, wśród tego zaś twardego życia jedyną osłodą i podnietą była mu ta myśl, że nie był już ciężarem opiekunowi dobremu, bo sam zarabiał na utrzymanie swoje.

Zarzuci kto może piszącemu tę historję Jędrusia dodamy najprawdziwszą w świecie, — że jak na kilkunastoletniego chłopaka trochę za wiele miał on powagi, zastanowienia i w końcu charakteru nawet... Nie nadzwyczajna to rzecz. W dzisiejszych ciężkich czasach, w tej epoce zpotęgowanej walki o byt, napotkać można co krok chłopczynę, który o głodzie i chłodzie, z wybladłą twarzą skutkiem bezsennych nocy, w wyszarzanym surduciku i mocno defektownem obuwiu, pnie się siłą mocą do nauki, i bądź to rozmiłowawszy się w niej, bądź słysząc zewsząd, ze ona mu da później i mieszkanie ciepłe i strawę do syta i buty całe, stara się o własnych siłach posuwać mozolnie z klasy do klasy, byle dalej, byle bliżej tego wyglądanego celu w odległej przyszłości. kawałka chleba za dekretem... Takie życie wcześnie rozpoczęte, urabia najczęściej usposobienie spokojne a pełnerefleksji, i charakter żelazny. Dostatki pono mało wyplekały wielkich serc i umysłów — bieda i ciągłe pasowanie się z potrzebami codziennemi, były gruntem, na którym z mizernego dziecka urósł w olbrzyma nie jeden bohater ludzkości...

Mimo pracy, pochłaniającej wszystkie siły chłopięce, sierota rozwijał się pomyślnie, zdrów był i wesół, jak za szczęśliwych czasów dziecięcych w domu organiściny. Ładniał przytem z każdym rokiem, że na ulicy odwracano się za jasnowłosym ślicznym chłopakiem, gdy z książką i skrypturkami pod pachą biegł, co tchu miał, do szkoły z dalekiego przedmieścia. Pracowity, cichy, usłużny i przyjacielski, lubiany był zarówno od profesorów jak kolegów. Pan Wawrzyniec, u którego kilka lat już mieszkał, przepadał za nim, i choć sam biedę popychał naprzód wszystkiemi siłami, ile razy tylko mógł, dawał wyraz swej wdzięcznośsi i uznania dla pracy Jędusia i jej widocznych owoców. Gdy przyszły święta, zawsze kupił mu w prezencie to surducik skromny, to buty, a nie mniej pani Wawrzyńcowa usiłowała kilka razy zkompletować przynajmniej do niezbędnej ilości ubogą bieliznę Jędrusia, — i jakoś życie płynęło sierocie.

A już wszystkie dzieweczki od 12 do 15 lat, mieszkające przy tej ulicy, która wiodła z przedmieścia do miasta, to marzyły we śnie i na jawie o pięknym chłopcu z jasną kędzierzawą głową, i dużemi czarnemi oczyma... Ani przypuszczał Jędruś, ilu westchnień tajemnych, płynących z głębi dziewiczych serduszek, był powodem wyłącznym i że wśród młodziuchnej płci pięknej przedmieścia liczył tyle wielbicielek ukrytych ile par oczu patrzyło nań ukradkiem, gdy bądź to w przechodzie mijał którą w pospiechu, bądź gdy umyślnie wiele z nich czatowało nań o zwykłych godzinach, za firankami okiennemi.

* *

Porzućmy na chwilę Jędrusia, a popatrzmy, co się tymczasem działo z benjaminkiem pani pocztmistrzowej, znajomym już nam Kaziem.

Wiemy z poprzedniego, że na równi z matką swoją rozpustny ten chłopak żywił niechęć głęboką do naszego bohatera, z tą oczywiście konieczną różnicą, że u pani pocztmistrzowej przynajmniej na jakie takie usprawiedliwienie jej gniewu możnaby przytoczyć okoliczność, iż drażniła ją wyższość Jędrusia w każdej mierze nad jej ulubionym synem. To zaś bolało ją tem bardziej, ile że w oczach tej tuzinkowej kobiety, pochodzenie sieroty rzekomo wypaliło na jego czole pogardy godne i niozmazalne piętno hańby, które zdaniem jej degradowało każde takie stworzenie, jak dziecko nieszczęśliwej Kasi, poniżej wartości najgorszej jednostki w społeczeństwie.... U Kazia natomiast rankor jego do Jędrusia wytłumaczyćby można chyba tą tylko, niestety jednak spotykaną już bardzo często u dzieciaków na ławie szkolnej, zawiścią małoduszną, którą nadto potęgowało pełne jadu i pogardy wyrażanie się i mniemanie matki o wychowanku organistów. A wszystkiego tego sprawcą nieświadomym był zacny pan Piotr, który odważył się preferować „bębna jakiejś tam awanturnicy", nad prawowitego potomka rodu szlacheckiego, i reprezentanta miejscowej inteligencji!

O! bo pani pocztmistrzowa nader dumną była z odziedziczonego po przodkach klejnotu szlacheckiego, i „edukacji" otrzymanej w domu rodzicielskim. Kronika miejscowa twierdziła, że też tylko tyle — a oboje w nader podejrzanej walucie — otrzymał pan pocztmistrz za żoną w posagu — pani pocztmistrzowa jednak, gdy jej to doszło, nazywała tę plotkę niegodziwym wymysłem „ordynaryjnej respicjentowej" i utrzymywała, że jakkolwiek rzeczywiście skromny tylko majątek przypadł jej w udziale po rodzicach, ma jednak ogromnie bogatą a bezdzietną jakąś ciotkę na Wołyniu czy Ukrainie, która w testamencie naznaczyła ją jedyną sukcesorką olbrzymiej swej fortuny, zastrzegając jeno dla siebie dożywocie.

Kazio tedy był jedynym męskim spadkobiercą rodowych splendorów po kądzieli (pan pocztmistrz niestety nazywał się wcale po plebejuszowsku, Jacenty Świder, i podochocony

czasem węgrzynkiem w zaufanem towarzystwie, nie tail się z tem wcale, że wywodził się z górali Nowotargskich) i przyszłym posiadaczem owych dóbr za Kordonem. Nic więc dziwnego, że ojciec i matka, a zwłaszcza ta kochała go nad własne życie. Miał jeszcze Kazio dwie młodsze siostry, Manię i Jadwisię, obydwie ładne i potulne dziewczątka. Ale te już nie posiadały ani połowy serca matki, i były od maleństwa maniakami, na których Kazio zaprawiał kułaki swoje do zręcznych szturchańców. Pieszczony od kolebki, nie rozumiejąc znaczenia wyrazów: „nie wolno“, „nie można“, a będąc nadto z natury popędliwego temperamentu, ledwie kilkuletni malec był już w domu rodziców tyranem i despotą dla całego otoczenia. Wady te, wszczepione w dziecko ręką rodzonej matki, stopniowały się w nim z rokiem każdym, i gotowały mu przyszłość pewnie nie taką, o jakiej marzyła dla jedynaka zaślepiona w nim nierozumna matka.

Przez cały czas pobytu w szkole miejscowej pod panem Piotrem, Jędruś i Kazio kolegowali z sobą, i nieraz jeszcze poczubili się nie na żarty. Po skończeniu szkoły normalnej, Jędrusia, jak wiemy, profesor zawiózł do Lwowa, a Kazia ojciec ulokował w jednem z gimnazjów prowincjonalnych.

(C. d. n.)

Excelsior!

Ojciec gdy konał, dał mu na pamiątkę
Sygnet i rzekł mu: Tu w wieńcu wawrzynu
Dałem wyrzeźbić „Excelsior“ w pieczątkę,
Herb ten i hasło zostawiam ci synu
Excelsior!

. . . .

W kilka lat później konała mu matka;
Zarobek nędzny słabość pochłonęła
I wszystko musiał sprzedać do ostatka,
Lecz walka z życiem hasła mu nie wzięła:
Excelsior!

Nareszcie przyszła straszna chwila: zima,
W wilgotnej izbie mrze matka w agonii,
Ciepła i strawy, i okrycia nie ma...
Więc zawył z bólu, ścisnął sygnet w dłoni:
Excelsior!

Wyszedł... do jednej z kamienic na rynek,
Na dole bank był, co dawał jałmużny...
Lecz dłoń mu palił święty upominek;
On nie mógł hasłu temu zostać dłużny:
Excelsior!

Wyżej!... Bogaty pan mieszka na piętrze
(A był młodzieńca to szkolny kolega)
Można zapukać... Lecz hasło najświętsze
Rumieńcem dumy na skroń mu wybiega:
Excelsior!

I wybiegł wyżej... i przypomniał złote
Dnie młode, w których roił szczęście, sławę,
Jak szedł do życia przez pracę i cnotę,
Jak nieraz wołał, chociaż przez łzy krwawe:
Excelsior!...

Na trzeciem piętrze spotkała go o n a,
Pyta: dla czego starganą ma duszę,
Lecz jej w odpowiedź on ścisnął ramiona,
I rzekł „bądź zdrowa!“ ja wyżej iść muszę,
Excelsior!...

Wyżej! na czwarte piętro — do zastawu
Chwieje się... słania... jeszcze krok do mety,
Lecz w progu pada i wraz z strugą krwawą
Z piersi wybiegło ostatnie niestety
Excelsior!...

Roman Poliński.

Izajasz Tegnér
i poemat o Frytjofie.*)

Szkic literacki
Dra. Alberta Zippera.

Najdawniejsze podania mienią Azję kolebką ludzkości. Choć umiejętność co do innych części świata nie bezsprzecznie na to twierdzenie się pisze, co do Europy nie podlega ono wątpliwości. Do pustej niezaludnionej Europy przybyli z Azji mieszkańce, najpierw szczep celtycki, potem ludy italskie i heleńskie, przybyli Germanie a nakoniec Sławianie. Germanie, na których dziś uwagę zwrócić muszę, „bramą narodów“ między Uralem i morzem Kaspijskiem do Europy wstąpiwszy, nie do dzisiejszych Niemiec, lecz wprost ku Skandynawii podążyli — wkrótce zaś większość ich opuściła pierwotne te siedziby, i silnym prądem zalała dzisiejsze Niemcy, rozpościerając się dowolnie w szerokiej przestrzeni.

Północni skandynawscy Germanie, zwani też „mężami północy“, Normanami, w niedostępnej dla obcych zaciszy zdołali narodową religię, podania, obyczaje narodowe łatwiej i dłużej zachować w pierwotnej czystości, bezcudzej przymieszki, niż bracia ich w Niemczech. A kiedy i do nich chrześcijaństwo choć późno się wcisnęło, i pogańskim pamiątkom wojnę wypowiedziało, tedy jeszcze odległej, na samotną widownię zorzy północnej, ognistych wulkanów i nieznikłych lodów, na wyspę islandzką pobożny Norman wiózł bogów swoich, świętą wiarę przodków i wolność swoją. Tu w Islandji, powstały owe sławne, tchnące duchem, lśniące złotem najszczerszej poezji, pieśni o bogach i bohaterach, owa „Edda“, zdrój wszelkich wiadomości o pogańskiej wierze i dawnych obrządkach u Germanów. Śpiewali pieśni te i inne Skaldowie (tak w Skandynawii i na Islandji poetów przezwano) po dworach rycerzy — zgromadzonym słuchaczom, a czyny bohaterskie i awanturnicze współczesnych, godne opiewania, pomnażały z każdym dniem skarb utworów pieśniarskich.

W taki to sposób powstała w Skandynawii znaczniejsza niż u innych narodów ilość opowiadań poetycznych, które pokolenie pokoleniu podawało, opowiadania głoszące cześć bohaterów narodowych, odwagę ich nieustraszoną, wyprawy i walki w dalekich stronach, tęsknotę za ojczyzną. Podania takie nazywano „sagami“, a czczono nawet osobną boginię „Sagę“, boginię opowiadań dziejowych i poezji, która bogom o doli śmiertelników oznajmia. U nas odpowiada wyrazowi „saga“ baśń, a jeszcze lepiej wyraz „klechda“, jako tradycja, podanie gminne.

Oprócz tych sag, opowiadań obszerniejszych, powstało u Skandynawów w późniejszych już czasach mnóstwo szczuplejszego zakroju opowieści poetycznych. Nikt nie podał, nikt nie zna autorów tych prześlicznych rzewnych, porywających ballad, ale lud cały je śpiewał i powtarzał, bo wyśpiewane były z jego duszy, z jego serca i myśli.

Szczęśliwy naród, który z dawien dawna posiada takie skarby niewyczerpane poezji! Bo kiedy nadejdą czasy wyższej oświaty, kiedy z nią i poezja jako sztuka powstanie, czyż może artystyczna ta poezja na łatwiejsze, przychylniejsze trafić warunki? Wszak j e j zadaniem, to co naród sobie umiłował, myśli które wysnuł, uczucia, które wypielęgnował, postacie, które wydumał. — wszak j e j zadaniem. te myśli, te uczucia, te postacie wznosić w sferę artyzmu, wplatać w całość estetyczną, wydoskonalać i uzupełniać tak, żeby nie przestały być narodowemi, a równocześnie zadowalały najwyższe wymagania umysłów wykształconych.

Ale niestety mimo tych niesłychanie pomyślnych warunków, i Skandynawia nie może się szczycić szczęśliwszym rozwojem s z t u k i poetycznej, niż większość narodów europejskich. Wiadomo bowiem, iż z nowożytnych ludów jedynie Anglicy i Hiszpanie mieli to szczęście, iż wytworzyli u siebie szczyt choć jednej gałęzi poezji w ciągłym rozwoju, wprost na narodowych podstawach: wypia-

*) Niedawno obchodziła Szwecja stuletnią rocznicę zgonu największego swego wieszcza. Aby i z naszej strony uczcić pamięć znakomitego poety, ogłaszamy niniejszy szkic, który autor wygłosił w „sali redutowej“ we Lwowie dnia 6. marca 1882 r. z wielkiem powodzeniem jako odczyt publiczny. (Pr. Red.)

stowali sobie Hiszpanie Calderona i Lopeza. Anglicy Szekspira, a jedni i drudzy dramat swojski, narodowy.

Ale jak wszystkie inne narody, tak i Skandynawię owionął wraz z przybywającą oświatą nie oddech orzeźwiającej prawdziwej poezji, tylko zatruwające powietrze uczonego wierszoklectwa — bo trudno rymowania te nazwać poezją. Na wszystko, co narodowe, patrzyli z podełba uczeni, a im więcej wiersze się oddalały od ducha ojczystego, im więcej napuszałych frazesów, wiadomości geograficznych, historycznych, przyrodniczych, medycznych, jurydycznych i t. d. i t. d.. im więcej tego balastu a im mniej poetyczności, tak, że cię, żar zupełnie wszelki polot przygniótł, — tem doskonalszy bywał wiersz. Umiejętność i uczoność fabrykowały poetów na zawołanie... a choć istotnie do ludu nic z tych lichot nie dochodziło, (któż dbał tam o głupi lud!) wzajemnie się podziwiając, wieszcze peruki nazywały się Homerami, Wirgiljuszami, Pindarami...

Dopiero na początku naszego stulecia, kiedy poezja niemiecka, po torujących im drogę poprzednikach takimi geniuszami, jak Schiller i Goethe, zajaśniała była, kiedy szkoła romantyczna w Niemczech narodową przeszłość badać i na ważność czynnika narodowego w poezji wskazywać zaczęła, kiedy w Byronie pierwszorzędna gwiazda nietylko Brytańczykom się okazała, wtedy gdy i u nas, gdy nawet u Moskali, gdy we Francji nowy przygotowywał się zwrot w zapatrywaniach na poezję wówczas dopiero i dla Szwedów nastała epoka odrodzenia. I w Szwecji zaczęto targać więzy, narzucone niegodnie prawdziwej poezji, zaczęto napadać na obóz mizernych fałszywych klasyków, zaczęto budować gmach literatury na podstawie zapału i ducha, i na podstawie narodowości. Jednym i największym z tych mężów przełomu jest Izajasz Tegnér, sława swej ojczyzny.

Izajasz Tegner urodził się 13. listopada 1782 r. w Kirkerud, w powiecie szwedzkim Wermland, jako najmłodszy syn ubogiego plebana. Jeszcze dzieckiem odumarł go ojciec i już w 9. roku musiał przepisywaniem aktów u poborcy podatkowego na życie zarabiać. Tułając się po rozmaitych miejscach, pracując na utrzymanie swoje, nie zaniedbywał własnego wykształcenia, tak że 1799 r. zapisał się na wykłady uniwersytetu w mieście Sund, gdzie po kilku latach otrzymał posadę profesora estetyki, później literatury greckiej. Jeszcze później zwyczajem szwedzkim łączył z profesurą i godność duchowną (kaznodziei) W 1824 r. zamianowano Tegnera biskupem z rezydencją w Wexio — nie odpowiadało to stanowisko, choć najsumienniej obowiązki jego wypełniał, powołaniu poety. Walki nieustanne z fanatyzmem i nietolerancją wpływowych, z nieuctwem i powinnością poddanych, zgryzoty, które przysparzało pożycie domowe, przytem i chorowitość fizyczna coraz bardziej przysłaniały i przygasały światłego ducha — popadł nareszcie w rodzaj głębokiej melancholii, która się na obłąkanie zamieniła. Kiedy wyleczonego z zakładu wydano, okazało się, iż duch wprawdzie nie był już zaciemniony, ale zupełnie złamany. Z tak smutnego położenia wybawiła go śmierć dnia 2. listopada 1846 r.

Rozpoczął wcześnie Tegner zawód poetyczny wierszami pomniejszemi, które aczkolwiek uznanie nawet w szerszych kołach znalazły, nie okazują jeszcze wszystkich indywidualnych zalet jego talentu. Dopiero w poemacie p. t. „Szwecja“, pierwszą nagrodą przez akademię uwieńczonym w 1811 r. bije prawdziwe tętno muzy Tegnera. Równocześnie on, Gejer i inni, rozpoczęli w czasopiśmie „Iduna“ walkę z klasykami, i poezję oparli o silną podstawę narodowej przeszłości i rodzinnej ludowej pieśni. W tym duchu całą swą działalność rozwinął Tegner, a owocami jej najznakomitszymi są: idyla teologiczna: Dzieci u św. komunii“; romans „Axel“ i „Saga frytjofowa“, na której tak w ojczyźnie jak i u obcych narodów głównie sława poety polega.

„Saga frytjofowa“ nie jest to dopiero wymysł Tegnera; treścią swą sięga ona czasów pogańskich, i jak wiele innych klechd, tak i ona została nam zachowaną w starej swej formie. Jak wszystkie twory wyobraźni germańskiej, i saga frytjofowa w formie pierwotnej nosi charakter wspaniały wprawdzie, ale nadludzko olbrzymi; potężne bryły, na tak imponującą budowę przez fantazję upiętrzone, nie zdobne delikatnemi rzeźbami, działają mniej pięknością i polotem, jak ogromem i siłą, mniej powabem i harmonią, jak nieokrzesaną śmiałością i rubasznością. Odpowiadało to czasom, kiedy powstała saga; dla nowoczesnego poety jest to cenny, lecz nieforemny materjał do harmonijnego dzieła sztuki.

A tu tkwi zasługa Tegnera. Zachował wprawdzie zarys i szkielet pierwotnej sagi; zachował charakterystyczne cechy i koloryt epoki; ale dzikość, barbarzyństwo, zbytnie rażące dzisiejszy smak, to wyrzucał, to łagodził, uzupełnił na podstawie głębokich studjów starożytności obraz, barwami skądinąd zaczerpniętemi — ale co najważniejsza, lakoniczne, suche opowiadanie zamienił na pełen życia i wdzięku poemat, szkieletowi nadał plastykę cielesną, i twórczą siłą tchnął weń oddech, iż zatętniała krew i uderzyło serce. Ćwierć wieku w łonie swojem całokształt tego poematu wypiastował, ćwierć wieku nosił się z postaciami temi, które mu wszędzie towarzyszyły, aż zakłął je w kształty ostateczne, doskonałe, i stworzył poemat, który u wszystkich narodów germańskich — Niemców, Duńczyków, Anglików, Hollendrów, — uchodzi pod pewnym względem za jedyny. Jak bowiem poprzednio wspominaliśmy, najwyższem zadaniem poetycznej sztuki winno być uchwycenie postaci i myśli narodowych w estetyczną całość. Mimo że germańskie narody obfitują w podania, w postaciach, które duch narodu sam wykołysał, jak Sygfryd, Gudruna i tyle innych, przecie żaden z narodów germańskich dotąd ostatecznego artystycznego przelania tych prastarych klechd w formę najdoskonalszą nie posiada: tylko Szwedom jedynym „Sagę frytjofową“ dał Tegner, urzeczywistniając w tem dziele najwyższy ideał sztuki narodowej.

Omówiwszy tak w głównych zarysach warunki powstania poematu o Frytjofie, przystępuję do drugiej części, w której również w głównych rysach treść sagi frytjofowej podam, wplątując niekiedy słowa poety samego.

Za zamierzchłych czasów pogańskich cała Skandynawia rozpadała się na mnóstwo drobnych niepodległych państw. Takiem było i królestwo Sognu, po obu stronach zatoki do dziś dnia sognijską zwanej, w uroczej okolicy norwegskiej rozłożone, główne widowisko naszego poematu. Na południowym brzegu zatoki był gród stołeczny Systrand, gdzie panował król Bel, a w pobliżu na wysokiej skalistej górze po nad zatoką, wznosiła się świątynia jasnego Boga słońca, Baldera, obszerna drewniana budowa, opasana uroczym cienistym gajem. Bel choć był królem, w najściślejszej od młodości przyjaźni żył z ziemianinem Torstenem, którego rozległa majętność Framnes rozciągała się wprost stolicy na północnym brzegu zatoki. Bo król normandzki tylko podczas wojny właściwym był władcą nieograniczonym wolnych ziemian. Mimo władzy tak ścieśnionej, cześć dla królów miano największą, bo rodów królewskich początek do samych bogów odnoszono. Król Bel młodzieńcem jeszcze wybrał sobie zwyczajem normandzkim przyjaciela, tak zwanego brata po broni, w osobie ziemianina Torstena. Obaj młodzieńcy w uroczystych formach i słowach przysięgli, iż nigdy siebie w żadnej przygodzie nie odstąpią, a cokolwiek los im nadarzy, za wspólne uważać będą. W tak uszczęśliwiającym związku przeżyli długie pasmo lat, a starcami pragnęli, by równa przyjaźń łączyła i dzieci ich. Król Bel miał dwóch synów i córkę, Torsten jedynaka Frytjofa. Wspólnem potomstwa wychowaniem zajął się poważny starzec Hilding.

A tu znów wypada wspomnąć o osobliwszym zwyczaju Normanów. Jak wszystkie narody germańskie, tak i oni odznaczali się potężnym duchem wojennym, a skąpa ziemia kamienista ledwie starcząca na wyżywienie małej garstki, pobudziła do szukania łupu i bogactwa u obcych plemion. Dzielny młodzian zasiliwszy się dostatnią drużyną, morzem od dzieciństwa mu znanem i niestrasznem w dal się puścił, niekiedy obcą ziemię opanował, zwykle ze zdobyczą bogatą wracał, aby w ciągu długiej zimy, śród wypoczynku i szumnych biesiad, gotować się do nowych wypraw. Od życia tego awanturniczego polubianego za młodu, nie odwykli i mężowie. Tak Norman od wiosny do późnej jesieni sprawą wojenną zajęty, która go na długi czas od rodzinnej ziemi oddalała, nie mógł osobiście czuwać nad wychowaniem swych dzieci. Matka ledwie dziewczętom i młodszym chłopcom starczyć mogła, starsi potrzebowali innego kierownictwa, a wyłącznie na takie oglądać się trzeba było, gdy matka już na ziemi nie przebywała. Tak też król Bel synów i córkę, a przyjaciel jego Torsten jodynaka oddali starcowi Hildingowi, który dzieci jak własną rodzinę w cichej wiejskiej zagrodzie wychowywał. Jak dąb i róża, rośli obok siebie Frytjof i Ingeborga królewna, a równocześnie w duszach ich i miłość wzajemna rosła. Czytając w w księgach prastarych o boginiach, Frytjof nad wszystkie przenosił swą towarzyszkę; ona tkając na kanwie wizerunek boju, spostrzega że twarz dowódcy coraz wyraźniej Frytjofa przypomina. Pierwszego niedźwiedzia, którego zwalczył, do stóp Ingeborgi niesie; rozmarzony na wszystkich drzewach litery J. F. połączone wyrzyna. W dzień oni nikogo nie widzą prócz siebie, w nocnych marzeniach słyszą tylko siebie. W zachwycie tej czystej, głębokiej i bezgranicznej, całą istotą władającej miłości, gotowi ziemi wydrzeć co posiada najcudniejszego, morzu jego perły, gotowi słońca i księżyca pozbawić niebo, aby jak kwiatkami polnymi, nawzajem tem wszystkiem się obdarzyć.

„Synu! — raz Hilding rzecze surowy:
Miłość młodzieńca na zbyt cię ośmiela,
Wam bogi dały los niejednakowy;
Twa Ingeborga, jestto dziecię Bela.
Gwiaździstych stropów gdzie Odyn panuje,
Ród jej dosięga — ród świetny — szanowny!
Tyś syn ziemiana; tylko z równą równy
Prawdziwe szczęście na ziemi znajduje!“

Na co Frytjof;

„Ojcze! swobodny mąż kroku nie cofa,
Ziemia mu wszystka w dziedzictwie puszczona.
Jeśli los zniżył — los wzniesie Frytjofa!
I u nadziei jest swoja korona!...

Za córkę Bela, ja w obliczu Boga
W każdej nie blednąc stanąłbym godzinie!—
O kwitnij, kwitnij, liljo ma droga!
Kto nas rozłączy — biada temu — zginie!

Zapatrywał się starzec na życie prozaicznie, spokojnie wypowiedział to zdanie; ale na tem poprzestał, bo sam z własnego młodych lat wspomnienia wiedział, iż Frytjofów nie zmienia się na wystygłych starców, i że młodość pragnie przeszkód, walki, nie widzi zapór i trudności, jeno w cel świetny piękny wzrok jej wlepiony. Ale jak zawsze, sprawy poszły za doświadczonem zapatrywaniem sędziwego prozaika...

Król Bel i brat po broni jego Torsten doszli byli późnej starości, a czas był na gotowanie się do śmierci. Ponieważ bowiem germańskie narody miały przekonanie, iż tylko umierający od ran zadanych bronią do Walhalli jako towarzysz bogów dojdzie, przeto starce nie mający sposobności zginięcia na polu bitwy, by ujść śmierci zwanej słomianą, t. j. na łóżku od zgrzybiałości lub choroby, sami obrzędowe samobójstwo na sobie spełnili. Bel i Torsten, jak żyli wspólnie, i wspólnie zginąć pragnęli, a przedtem na pożegnanie i błogosławieństwo synów do siebie przywoławszy, wiele nauk pełnych głębokiej mądrości im prawili, do przyjaźni wzajemnej namawiali, a po odejściu synów sami śmierć sobie zadali.

Helg i Halfdan objęli po ojcu królestwo, a starszy Helg miał w rządach pierwszeństwo i opiekę nad siostrą Ingeborgą na się zlaną; Frytjof odziedziczył rozległą majętność i trzy klejnoty o cudownych przymiotach, które przodkowie jego zdobyli: miecz, złotą manelę i wojenny okręt Ellidę.

(C. d. n.)

Mój wuj Duval.

Opowiadanie Spaha
(przez K. Dollfus'a)

Było to, jak powiada Chenier, — kiedy wiosna znowu zielenią pokryła łąki, — prozaicznie mówiąc przy końcu kwietnia 1854.

Jako kapitan Spahów na urlopie w Paryżu, wszedłem pewnego wieczora, około piątej godziny do ogrodu Tuilerjów, i usiadłem na jednem z krzeseł, ustawionych do użytku spacerujących wzdłuż alei kasztanowej z widokiem na ulicę Rivoli. Siedząc rozmyślałem, jak przepędzić dzisiejszy wieczór? czy pójść do teatru Français lub do starej markizy Verdaine? Ważna kwestja, której nie spieszyłem się rozwiązać, lubiąc w mych decyzjach połowę działania pozostawić największej potędze tego świata, Jego Mości przypadkowi.

W powietrzu wszystko tchnęło pieszczotą, światłem i wonią. W około mnie dziewczątka i wróble skakały i szczebiotały na wyścigi, wspólnie święcąc ucztę, jaką im sprawiała wiosna. Mając serce młode mimo lat trzydziestu, odczuwałem jednozgodnie tę radość, a imaginacja wzlatywała na skrzydłach, patrząc na bawiące się ładne dzieciaki, które przechodziły koło mnie, w swej grze zupełnie zatopione. Myślałem sobie, jak słodko być musi przy zbliżaniu się dojrzałego wieku, gładzić ręką włosy jedwabne, ucałować po dniu ukończonym, przed udaniem się na spoczynek, lica niewinne, spotkać jasne spojrzenie, odzwierciedlenie niewinności, którą my utraciliśmy; odnaleść szczególnie siebie w tych drobnych istotach, we dwoje je kochać i posiadać, posiadać i kochać się w nich.

Zważywszy to wszystko, myślałem dalej, czy mianoby kochać kobietę i być nawzajem kochanym tylko z tej strony morza Śródziemnego? Czyliż nie znalazłaby się zdrowa i odważna natura, przenosząca życie oryginalne na górze Kabil, albo wśród oazy, nad pospolite i jednostajne ewolucje, wykonywane przez kobiety w tej ujeżdżalni, zwanej wielkim światem paryskim? Marzymy w każdym wieku, a mundur nie jednego kryje poetę. Afryka zresztą, oddzielając od biegu świata cywilizowanego, chroni nas od prędkiego starzenia się, i pozostawia młodymi, niekiedy nawet zbyt długo.

Marzyłem więc tego wieczora, podczas kiedy słońce zachodziło a ogród Tuilerjów coraz bardziej stawał się pustym.

— Pójdę na obiad do Ledoyen, pomyślałem sobie; — ztamtąd do cyrku nie daleko, gdzie przepędzę godzinę, a zakończę wieczór u markizy.

Powstałem zachwycony programem tak szczęśliwie ułożonym, gdy zobaczyłem małą dziewczynkę, bardzo elegancko ubraną, która szła ulicą płacząc.

Zbliżyłem się do niej:

— Szukasz zapewne swojej mamy lub bony, panienko. Nie rozpaczaj, my ją odnajdziemy.

— O! mój panie, poczęła mówić płacząc jeszcze silniej, — już blisko pół godziny szukam Suzety; czy sądzisz pan, że ona poszła do domu?

— Bardzo to być może, odpowiedziałem. Ale w jaki sposób straciłaś ją z oczu?

— Ona temu nie winna, mój panie. Usłyszałam muzykę tam w dole (wskazy-

wała kierunek mostu królewskiego) i pobiegłam by zobaczyć. Gdy wróciłam na miejsce, gdzie zostawiłam bonę, już jej tam nie zastałam.

— Bez wątpienia i ona szukała ciebie, i dlatego rozminęłyście się w drodze, sądzę jednak szukać jej dłużej, nie przyda się na nic; twoja bona wróciła do domu, a rodzice pewnie niespokojni o ciebie. Gdzie mieszkasz lube dziecię, i jak się nazywasz?

— Nazywam się Berta Satigny, a mieszkam przy alei Cesarzowej.

— A więc uspokój się, zaprowadzę cię tam. Dałem znak przejeżdżającemu fiakrowi i pojechaliśmy.

Dziewczynka nie płakała więcej.

— Dzięki ci panie tysiąckrotnie, za twą dobroć. Jak mama ci będzie dziękować. Pewnie strasznie niespokojna, a mój ojciec jeszcze bardziej, jeżeli wrócił już do domu, bo często piszą o tem w gazetach, że jacyś ludzie kradną cudze dzieci.

— Nie wszystko to prawda, co w gazetach piszą moje dziecko...

— Ależ to drukowane!

Temu sprzeciwić się było niepodobne.

Czy sądzisz pan, poczęła po chwili, że Suzeta zostanie oddaloną, przecież ona nie winna, że ja się zgubiłam?

Odpowiedziałem stanowczo, że nie. Tąmczasem pędziliśmy szybko przez pola Elizejskie.

Dorożka zatrzymała się przed pięknym pałacykiem, w stylu Ludwika XIII niedaleko bramy lasku. Dziecko zeskoczyło i zadzwoniło. Dzwi się otwarły.

Misję swoją uważałem za skończoną.

— Żegnam cię panienko zawołałem za nią, sprawuj się dobrze, a drugim razem nie opuszczaj bony dla zobaczenia przechodzącego wojska.

Innego zdania była moje mała, bo zwracając się szybko ku mnie zawołała:

— O nie! nie! panie... potrzeba koniecznie abyś poszedł ze mną na górę, aby mama cię widziała. Ja tak chcę!

— A... jeżeli tego żądasz, jostem na twe usługi panienko: niepodobna ci odmówić.

Podążyliśmy razem po schodach. W przedpokoju służba ustawiła się rzędem na nasze spotkanie. Byłaby, jestem tego pewny, w otwarte ramiona przyjęła cudne dziecię; ale liberja, podobnie jak szlachectwo, musi uważać na różne względy. Lecz gdzie była matka? Spodziewałem się, że na odgłos dzwonka u drzwi wchodowych, przynoszącego jej dobrą nowinę, wybiegnie uradowana na nasze spotkanie. Znaleźliśmy ją dopiero w salonie. Zbliżyła się do córki, która rnuciła się w jej ramiona, a potem wzróciło się ku mnie, wskazując jako swego wybawcę. Matka Berty, dama o wykwintnej postaci, chciała mi podziękować zwykłym jakimś frazesem, lecz słowa zawisły jej na ustach, podczas kiedy wielkie czarne oczy zatrzymały się na mej osobie. Zdawała się walczyć z jakąś niepewnością i zdziwieniem.

Podobnież i ja, studjując przez chwilę jej rysy, czułem wyłanianie się z nich, i aby się tak wyrazić, postępowanie ku mnie jakiegoś wspomnienia z innych czasów. Byłem w położeniu człowieka, który stara coś przypomnieć sobie, a boi się popełnić omyłkę; ona znajdowała się widocznie w takiej samej sytuacji. Jeżeli by nie imię, które mi podało dziecię, byłbym ją zaraz poznał; ale jakże odgadnąć w pani Satigny osobę, o btórej wiedziałem, że wyszła za mego wuja Duvala? Musiało to być tylko nadzwyczajne przypadkowe podobieństwo.

Jeszcze nie otrząsłem się ze zdziwienia, gdy wszedł — wuj Duval. Poznaliśmy się od razu i uścisnęli serdecznie.

Kochałem zawsze i szanowałem tego godnego człowieka, brata mej matki w którym odnajdywałem po części, jeżeli nie jej rysy, to wyraz poważny i dobroduszny jej fizjognomii. Ale jak się postarzał. i jak smutek rozsiadł się na jego wynędzniałej twarzy! Był już tylko ruiną w porównaniu z dawniejszem wyglądaniem. Czyliż zmartwienie lub słabość była powodem, że zdawało się, jakoby nosił podwójny ciężar swych lat pięćdziesięciu?

— Co za niespodziane szczęście oglądania ciebie znowu! wykrzyknął. Nie zmieniłeś się wcale.,. wyglądasz zdrów wesół..

— Wesół z powodu odnalezienia ciebie, kochany wuju. Lecz cóż to się stało, że cię spotykam w Paryżu, a sądziłem że jesteś w Clermontr

— Tak, tak... prawda, nie wiesz o niczem. Jesteśmy tutaj od sześciu miesięcy. Kupiłem ten pałacyk i pełnię służbę ajenta banku, aby mieć jakiekolwiek zajęcie. Chroni mie to od próżnowania. Zresztą Clermont nie było wcale miejscem pobytu dla Aliny... dla twej ciotki, dodał zniżając głos i jakby przestraszony tem, co powiedział.

Zwróciłem się ku jego żonie, patrzała przez okno,

— A teraz na ciebie kolej — ciągnął dalej zacny człowiek całkiem mną zajęty, — jakim że sposobem jesteś w Paryżu a szczególnej u nas, skoro sądziłeś, że jesteśmy na prowincji?

Opowiedziałam dwoma słowami dzisiejszą przygodę.

— Berta! takie sprawki często jej się przytrafiają. Chodź tu, malutka abym cię uścisnął. Tym razem szczęśliwie ci się udało, lecz pamiętaj, że co dzień nie spotyka się kuzynów; rzadko wygrywa, kto traci.

Mój wuj lubiał zawsze cytować dowcipne przysłowia nie sprawdzając jednak na sobie aforyzmu Rochefoucaulda: „Dowcipnisie, brzydkie charaktery".

— Prawdziwie, oryginalny wypadek, dodał po chwili namysłu. Przypadek, powiadają, jest czasem rozumny. Dzisiaj jestem jego najuniżeńszym sługą. Wypijemy zaraz twoje zdrowie ławle, bo oczywiście zjesz obiad znami?

— Jeżeli pozwolisz, mój dobry wuju i za pozwoleniem mej cioci...

Słowa te wymówiłem z trudnością. Moja ciocia! ta młoda kobieta, młodsza odemnie, jeżeli mnie pamięć nie myli, o cztery czy pięć lat, którą uważałem w gronie mych sióstr za najstarszą z nich. Ale mniejsza o to... była to żona mego wuja, a jeżeli dziwne było to nasze pokrewieństwo, on był tego powodem. Czterdziestkę już minął, gdy ożenił się z panną Aliną Beaumont, liczącą wówczas tylko lat siedmnaście.

C. d. n.

Obyczaje kupieckie.

Studjum Herberta Spencera.

(Przełożył L. Iulender.)

(Ciąg dalszy)

Jest inny dział kupców hurtownych, a mianowicie ci, co dostarczają handlom korzennym towarów zagranicznych i kolonialnych: o tych powiedzieć można, że malwersacje ich, jakkolwiek już samej natury interesa mniej są liczne i urozmaicone a zarazem bardziej ukryte, to jednak pochodzą z tej samej beczki co i tamte. Trudno przypuszczać, żeby cukier i korzenie były środkami przeciwgnilnymi zarówno dla strony moralnej jak fizycznej; należy raczej spodziewać się, że ci co prowadzą handel hurtowny tymi towarami, puszczą się tym samem torem co i inni, a to w kierunku gdzi znajdą drogę najłatwiejszą. Jakoż fakta stwierdzają, że oni wyzyskują detalistów, bądź pod względem jakości, bądź ilości towarów, które im sprzedają. Opisy towarów, które sami podają, z reguły bywają blagą; próbki, które rozsyłają swoim klientom, podawane bywają za pierwszy gatunek, chociaż są w istocie gatunku drugiego. Wojażerowie, których wysyłają, mają za zadanie potwierdzać te kłamstwa. Skoro zaś korzennik-detalista niema dość sprytu naturalnego i wia

domości fachowych, zawsze będzie oszukanym. W pewnych razach nawet największa w świecie przebiegłość nieuchroni go od oszustwa. Są takie oszustwa, które z czasem stały się „zwyczajem handlowym“ *(usance)*, i w obec których detaliście nic nie pozostaje, jak tylko się poddać. I tak, gdy kupuje cukier, bywa oszukiwanym tak na jakości, jak na wadze. Oto pokrótce dzieje tego złodziejstwa: W zasadzie tara (waga opakowania) przyznana przez kupca na każdą beczkę, wynosiła 14°|₀ wagi *brutto*. Waga rzeczywista drzewa, z którego składała się beczka równała się wówczas około 12°₀ wagi brutto. Tak tedy tolerancja kupiecka pozostawiła nabywcy czysty zysk 2°|₀ na wadze; stopniowo jednak beczka stawała się coraz mniejsza i coraz cięższa, a obecnie nakoniec zamiast 14°|₀ wagi brutto czyni aż 17°|₀. Gdy zaś dotychczas przyznaną jest tara jak przedtem 14°|₀, więc kupujący traci 3°|₀, to znaczy: że 3°|₀ jego wydatków strąca się na zapłacenie drzewa do cukru. Na jakości oszukuje się w ten sposób, że się kupcom podaje próbki z najlepszej części beczki. W ciągu podróży swej z Jamajki lub innego kraju aż do miejsca zbytu, cukier znajdujący się w beczkach drenuje się z wolna: Melasa (czyli osad cukrowy) znajdujący się tam zawsze w mniejszej lub większej ilości, sączy się z górnej części cukru ku dołowi, a dół ten (zwany technicznie „spodem“ czyli „nogą“) przez to przybiera kolor ciemniejszy i ma mniejszą wartość. Ilość tych części gorszych różną bywa w różnych beczkach, a kupiec, który kupuje podług próbki fałszywej, musi odgadywać, ile też w beczkach nabytych znajdzie się owego „spodu“? — skoro przyjął za niską cyfrę, to jego strata. Można się o tem przekonać z następującego listu, wyjętego z „głównej księgi publicznej“ z dnia 20. października 1858. Skargi te, najcięższe z tych, o których mówiliśmy, są powodem agitacji obecnie się toczącej.

„Odezwa do zajmujących się drobnym handlem korzennym w Zjednoczonem królestwie“.

„Panowie,

„Czas już, aby świat kupiecki poruszył sprawę rewizji tary cukru w handlu się znajdującego. Fakta świadczą, że niedogodności obecnego systemu coraz bardziej stają się dotkliwemi. Poddajemy waszej rozwadze fakt następujący, fakt jeden z pomiędzy dwudziestu Dnia 30. Sierpnia 1858 kupiliśmy trzy beczki cukru „Barbedos“, znak F. G.
K.

Nr beczki	Tary według faktury			Tary skonstatowane		
	cetnarów	ćwierć cetnarów	funtów	cetnarów	ćwierć cetnarów	funtów
1	1	2	14 + 6 (okruchów)	1	3	27
2	1	2	7	1	3	20
3	1	2	21	1	3	27
Sa	4	3	20	5	3	18
			Od tego:	4	3	20
			Okazuje się różnica	0	3	26

po 42 szylingów, to jest w pieniądzach 2 funty szterlingów, 1 szyling, 3 pensy (czyli w wal. austr. około 23 zł. niedoboru).

„Żądamy tedy zwrotu 2 funt. 1 sz. 3 p.; lecz hurtownik odpowiada, że niema widoków na wynagrodzenie straty“.

„Inne jest jeszcze złe, z którem ma do walczenia detalista: jest to sposób podawania próbek surowego cukru; spód cukru bowiem nigdy nie bierze się do próbki Możemy udowodnić faktami, że w kampanji obecnej na tysiące beczek „Barbedos“, średnio wypada po 5 cetnarów spodu w każdej beczce; zdarzało nam się nawet zwracać takie, w których było po 10 cetnarów spodu, co czyni na cetnarze 5 szylingów (3 złr. w. a.) różnicy w wartości stosownie do próbki; i w tym wypadku oświadczono nam, że nie ma widoków na wynagrodzenie. Dla tej to podwójnej przyczyny setki ludzi ciężko pracujących bliskie są obecnie ruiny, a setki innych będą do niej doprowadzone, skoro świat kupiecki nie weźmie się ostro do rzeczy; wzywamy was, abyście się połączyli w celu uzyskania rewizji tak naglącej.

Zostajemy, panowie, waszymi sługami

*Watker & Steines *)*.

Birmingham dnia 17. października 1858.

Winniśmy jeszcze wymienić rodzaj oszustwa bardziej subtelny. Jest to sposób używany przez rafinerów; kładą oni cukier wilgotny i pokruszony do suchych beczek. Zanim detalista otworzy taką beczkę, suche drzewo wsiąka wodę obficie znachodzącą się w cukrze, przezco tenże znacznie się ulepsza. Lecz gdy następnie kupiec zważy beczkę, znajduje, że jest ona o wiele cięższą, niżli tara wymieniona przez hurtownika; żąda naturalnie zwrotu dyferencji, lecz hurtownik odpowiada: „Odeszlij mi beczkę; w y s u s z ę ją i zważę następnie, stosownie do zwyczaju handlowego“.

Nie będziemy dalej badać szczegółów tych manipulacyj: te które powyżej wyliczyliśmy, są — być może — najgorsze ze wszystkich; wskażemy tylko na inną stronę działalności firm hurtownych, redagowanie prospektów. Wielu kupców hurtownych ma zwyczaj rozsyłać klientom perjodyczne przeglądy zawartych interesów, oraz stanu targu obecnego i spodziewanego w najbliższej przyszłości.

Dokumenta te kontrolują się wzajemnie, i nie mogą się przeto zbytnio oddalić od prawdy. Trudno jednak przypuszczać, aby były zupełnie lojalnie ułożone. Ci którzy je puszczają w swiat, — z uwagi, że wysokość ich zysków zależy od cen towarów, do których się odnoszą owe okólniki, — mają dobrze na uwadze swój interes, gdy układają obraz spodziewanych konjunktur. Detaliści mający dobry pogląd, strzegą się z tej strony.

Pewien korzennik na prowincji, który zna z gruntu swój interes, mówił nam: „U mnie reguła taka, że palę w piecu okólnikami“. I nie bez racji taki sąd wydał o prawdomowności tych dokumentów. Posłuchajmy, co w tej mierze mówią inni kupcy: Dwóch handlarzy skórą, — jeden z prowincji, drugi z Londynu — zgodnie ubolewało w obec nas, że okólniki firm tej gałęzi służą tylko do zbałamucenia ludzi. Nie ma tam fałszów wyraźnych; lecz one naprowadzają na fałszywe domysły, przez zamilczenie faktów, o których wspomnąć należało.

Zastanówmy się teraz nad moralnością fabrykantów: ograniczymy się do jednej klasy, a mianowicie do fabrykantów towarów jedwabnych. Dla uporządkowania zaś faktów, najlepiej będzie śledzić fazy, przez które przechodzi jedwab od chwili przywiezienia go do kraju, do chwili, w której może służyć na ubranie.

Pączki surowego jedwabiu, skoro przybędą z zagranicy — z wagą częstokroć sztucznie na niekorzyść kupującego pomnożoną, a to przez różne dodatki, jak kamyczki, drewna i t. p. puszczają się na rynek. Zakupują je na rachunek domów handlowych, tak zwani „maklerzy zaprzysiężeni“, przyczem przyjęta jest reguła, że maklerzy mają funkcjonować jedynie w charakterze ajentów. Wiemy jednakże z ust fabrykanta jedwabiów, że ajenci ci częstokroć, i to całkiem otwarcie, spekulują jedwabiem na rachunek własny lub z polecenia trzeciej osoby; zaintersowani w ten sposób co do cen jedwabiu, naturalnie stają się złymi ajentami. Za fakt powyższy jednak ręczyć nie możemy, chociaż ogólne jest mniemanie, że się tak dzieje.

Jedwab w ten sposób nabyty przez kupca londyńskiego, poseła się do miejscowości fabrycznych, gdzie go się „organzynuje“ t. j. przędzie w podwójne nici, przydatne do tkania. Zwyczajne warunki targowe mię-

*) Nadużycia w tym liście opisane, dziś być może już są zniesione. (Uw. autora).

dzy kupcem „organzynerem“ (t. j. owym fabrykantem, który jedwab przędzie) przedstawiają dziwny przykład oszustwa zorganizowanego i uznanego. Prawdopodobnie wyrodziło się ono z jakiegoś oszustwa dawniej praktykowanego, lecz następnie powstrzymanego. Przędzenie jedwabiu zawsze połączonem bywa z niejaką utratą w materjale przez urwane końce, węzły, nici za słabe do tkania. Braki te wynoszą stosownie do jakości jedwabiu z 3°|₀ aż do 20°|₀; średnio zaś 5°|₀. Ponieważ wysokość możliwego niedoboru jest tak zmienną, więc jasną jest rzeczą, że nieuczciwy fabrykant przy niedostatecznym dozorze, może sprzeniewierzyć część materjału, a oddając robotę, złożyć ten ubytek na karb t. z. „spilażu“ (po angielsku *spillage* t. j. ubytek w przędzeniu.)

Z tego powodu obmyślano system, wedle którego fabrykant zobowiązanym bywa oddać kupcowi po wykończeniu pełną wagę otrzymanego jedwabiu. Nazywa się to, że fabrykant „robi na własny koszt“, co — zdaje mi się — znaczy, że jeśli fabrykant spowoduje ubytek, to ponosi koszt. Pamiętajmy jednak, że dziś niepodobna uprząść jedwabiu bez ubytku (3°|₀ a zazwyczaj 5°|₀). Umowa więc powyż wzmiankowana, zawiera koniecznie jakieś oszustwo, rozumie się — jeśli można nazwać w ogóle oszustwem rzecz, która jest ułożoną między stronami interesowanemi. Oto poprostu wypada powiększyć wagę uprzędzonego jedwabiu. Ubytek wagi spowodowany przy przędzeniu, uzupełnia się za pomocą różnych sztucznych dodatków. Najczęściej używa się w tym celu mydła. Trochę mydła zawsze brać należy, aby nie, połyskiwały podczas roboty; otóż bierze się więcej tego mydła, niż koniecznie potrzeba, i sprawa załatwiona. Używają także cukru, tak czy owak: dodaje się tyle obcych ziół do jedwabiu, aż tenże nie przybierze wymaganej wagi. Każdy organzyner musi używać tego sposobu, a niektórzy nawet mocno z niego korzystają, aby pokryć niedbałą fabrykację lub coś gorszego jeszcze.

Następnie jedwab poddaje się dalszej operacji, mianowicie farbowaniu. I tu oszustwo zagnieździło się już stale. Dawniej, jak nam mówił pewien fabrykant wstążek, głównie oszukiwano w ten sposób, że zwiększano wagę jedwabiu przez dodawanie wody; Motki, które wracały od farbiarza, jakkolwiek nie były zewnątrz zmoczone, jednak zawierały dość wilgoci, aby nią zastąpić pewną część jedwabiu zatrzymaną w farbiarni. Z tej strony więc należało się strzedz. Dziś *) jednak wynaleziono sposób oszukiwania o wiele wyższy od tamtego: moczą jedwab w ciężkich farbach. Następujące szczegóły mamy od pewnego organzynera: Dziś — mówił on — będzie z lat 35, odkąd ten system nastał. Przedtem jedwab tracił zawszo znaczną część wagi w ogrzewaczce. Wiadomo, że pierwotne nici jedwabiu, gdy wychodzą z pod gruczoła przędnego jedwabnika, pokryte są warstwą pokostu rozpuszczalnego we wrzącej wodzie. W kąpieli więc pokost, który stanowi 25°|₀ całkowitej wagi jedwabiu, schodzi, i jedwab staje się o wiele lżejszym. Tak tedy dawniej z 16 uncyj jedwabiu posłanych do farbiarza, wracało zaledwie 12. Lecz zwolna w miarę używania coraz to cięższych farb, wynik okazał się odwrotny. Obecnie bowiem jedwabiowi przybywa wagi, i to nieraz w stosunku trudnym do uwierzenia. Według przyjętego zwyczaju farbiarz oddaje 12 do 14 uncyj za funt jedwabiu. Jedwab zamiast tracić jak powinien 4 uncje wagi, zyskuje na niej, a to zapomocą niektórych farb aż do 24 uncyj! Zamiast gęstości o 25 |₀ niższej niż pierwotna, wykazuje gęstość wyższą o 150°|₀; zawiera on bowiem 175°|₀ przymieszki obcych ciał! Zważywszy dalej, że w ciągu tych rozlicznych manipulacyj, jedwab w handlu liczy się na wagę, wynika jasno, że wprowadzenie i rozwój tej procedury obejmuje długi szereg oszustw. Obecnie w handlu każdy już wie o tem, i ma się na ostrożności. Podobnie do innych, i to fałszerstwo stawszy się ogólnem, nie przynosi już nikomu korzyści. Mimo to zaś charakteryzuje ono dosadnie moralność tych, którzy się doń przyznają.

*) T. j. w r. 1858 kiedy ta rozprawa pisana, odtąd zapewne wynaleziono jeszcze „lepszy“ sposób. (Uw. tłum.)

Jedwab uprzędzony (organzynowany) i ubarwiony przechodzi w ręce tkacza; i tu znowu napotykamy nieuczciwe postępki. Fabrykanci materyj jedwabnych okradają kolegów przez naśladownictwo modeli. Ustawy wydane przeciw tej kategorji rozboju świadczą, do jakiego stopnia one się rozwielmożniły. I dziś jeszcze nie podoboa ich powstrzymać. Jedna z ofiar tego postępowania zapewnia nas, że dotąd fabrykanci zwykli dostawać obcych modeli zapomocą przekupiania robotników. W stosunkach swoich z „akwizytorami fabrykanci znowu uciekają się do oszustw, prawdopodobnie aby sobie wynagrodzić wydatki miane poprzednio podczas targu i t. d. Towary przedtem już oglądane i odrzucone przez innych akwizytorów, proponują się nowo przybyłemu, z rozlicznemi ostrożnościami, jakoby dla zachowania sekretu, zapewnia go się, że towar ten umyślnie dla niego był zachowany. Nie jeden daje się na to złapać. Co do samej fakrykacji, to jest tam dość oszustw właściwych i niema o tem wątpienia. W wyrobie wstążek n. p. istnieje procedura, która się zowie: „Kończyć umierając,“ to jest, że wyrabia się starannie pierwsze trzy yardy, zaś resztę chowaną w rulonie robi się z lichej tkanki po 80 nici na cal, zamiast 108. Inne oszustwo zasadza się w podawaniu imitacyj z lichszego materjału, czyli w podrabianiu tkaniny. Ten zwyczaj wyrabiania lichoty bynajmniej nie jest rzadkim, owszem jest on dziś już instytucją, która się rozwinęła szeroko i z niesłychaną szybkością.

Nowość, która się sprzedaje początkowo po 7 szelingów 6 pensów yard (około 5 zł. metr,) wywołuje szereg imitacyj, a po upływie 1½ roku dostać można taką podróbkę za 4 szlg. 3 p. (a więc niemal za połowę.)

Zdarzają się nawet zniżki ceny z 10 szyl. na 3 i aż do dwóch szelągów za yard. W końcu zły gatunek tych podróbek staje się tak widocznym nareszcie, że ich pozbyć niemożna: następuje reakcja, która się kończy bądź zwrotem ku wyrobowi oryginalnemu, bądź sporządzeniem innej nowości, mającej tamtą zastąpić.

W zapiskach naszych znajdujemy mnóstwo innych łotrostw, używanych w handlu hurtownym, które wolimy tu pominąć. Nie możemy się zatrzymywać nad całkiem zwyczajnym wybiegiem takim, jak używaniem fałszywej marki handlowej, lub naśladowaniem opakowania innego fabrykanta, wszystko w celu oszukania kundsmana. Wystarczy nam wskazać jedynie na pewne firmy, mające pozór uczciwości, które jednak zwiedzą ogółu kupują towary w sposób oszukańczy sporządzone. Jesteśmy zmuszeni powstrzymać się od bliższego określenia tych postępków, ukrywających się pod pozorami zacności, służącymi — jak się zdaje — jedynie do ukrywania zbrodniczych czynów. Łotrostwa powyż opisane, są to tylko próbki istniejących stosunków, na których opisanie zaledwie starczy tom cały.

Lecz są inne przykłady niemoralności kupieckiej, które tu podać wypada, takie mianowicie, które się dadzą poniekąd usprawiedliwić: można się z nich przekonać, jak to ludzie przez skłonność nieznaczną i nieprzezwyciężoną prawie popadają w nieuczciwość. Niema wątpliwości, że każdy nowy sposób oszukiwania zawsze bywa wynalazkiem handlarza, niemającego cienia sumienia. Zwolna inni wstępują w jego ślady: są to ci, którzy mają sumienie dość elastyczne. Ci zaś, którzy są uczciwi, wystawieni bywają na ciągłą pokusę przyjęcia nieczystych sposobów, używanych przez ich otoczenie. Im więcej osób ulega tej pokusie, tem bardziej oszustwo staje się ogólnem.

(C. d. n.)

Przegląd literacki.

(Dr. Szaraniewicz: O latopisach i kronikach ruskich XV. i XVI. w. a zwłaszcza o latopisie welikoho kniaźtwa litowskoho i żomojtskoho.)

Wiadomo, że historycy nasi odbyli przy współudziale zagranicznych swych kolegów (Roepell, Caro) w maju 1880 r. w Krakowie pierwszy swój zjazd tak zwany Długoszowy. Na zebraniu poruszono nie jedną żywotną kwestję nauki historycznej, i omawiano wiele projektów. Uczestnicy zjazdu wzięli sobie do serca wypowiedziane tam zdania, i przystępują już, chociaż powoli, do urzeczywistnienia nakreślonych planów.

Na zjeździe tym podniósł prof. Szaraniewicz bardzo ważną myśl wydawnictwa ruskich źródeł do historji polskiej.

Rozprawa niestrudzonego profesora, której tytuł wymieniliśmy na czele, jest „przedwstępną pracą“ do tego wydawnictwa. Ma ona głównie za cel, zaznajomić nietylko świat uczony ale, i szerszą publiczność z kronikarzami ruskimi, oznaczyć ich wartość — słowem zainteresować rzeczą dotąd nieznaną. Zadanie autora było wcale niełatwem, musiał być zrozumiałym, zwięzłym a mimo to nie mógł i nie powinien był spuścić z oka naukowej metody, nie powinien zapominać ani na chwilę o wymogach krytyki historycznej. Bardzo trafnie postąpił więc autor poprzedzając rozprawę ogólnym wstępem, pouczającym o historyografii ruskiej, która stała, powiedzmy to zaraz, na niskim stopniu. Do końca XVIII° w. bowiem nie wyszła poza kroniki i latopisy; jestto wcale dokładne źwierciadło oświaty ogólnej.

Autor dzieli historyografią Rusi na trzy okresy: I. do 129?, obejmujący czasy niezawisłości i politycznej samoistności Rusi południowej; tu należą Nestor, kronika kijowska i wołyńska. II. od 1340 względnie 1387 (a więc luka lat stu) aż do 1648 tj. od czasu połączenia Rusi i Litwy z Polską aż do wojny kozackiej. III. od 1648—1750. Okresy te nazwać można: ruskim, ruskolitewskim i najnowszym.

Zauważyć musimy, że autor naszkicował tylko podział; może dlatego, że nie jest on nowym. A przecież brak obszerniejszych wywodów daje się uczuwać już z tego powodu, że wiadomości nasze o pracach dotyczących historyografii ruskiej są bardzo luźne. Braku uzasadnienia więc żałujemy tem bardziej, że u nas nie mógł nikt lepiej tego uczynić, jak Sz. autor tak gruntownie z przedmiotem tym obeznany.

Po wstępie przechodzi autor do właściwej pracy tj. do kronik okresu drugiego czyli litewsko-ruskiego, „który dla jedności zapatrywań politycznych i solidarności litewsko-ruskiego żywiołu względem króla i władz najwyższych Rzeczypospolitej więcej się nadaje do spokojnego i przedmiotowego rozpatrzenia.“

Kronik tego okresu znamy sześć, z których dwie zalegają dotąd w rękopisie. Autor oceniwszy zwięźle wydania czterech kronik i opisawszy rękopisy (kopie) dwóch kronik zaznacza, że dotychczas daje się czuć brak: 1. oceny i rozbioru latopisu w. ks. litewskiego w stosunku do innych źródeł tego okresu, 2. porównania wszystkich kronik ze źródłami północno-ruskimi, pruskimi, inflanckimi i polskimi. 3. redukcyi Długosza, Bielskiego i Stryjkowskiego do kronik litewsko-ruskich. Zanim jednakże będzie można przystąpić do rozwiązania tych kwestyj należy wprzód wyjaśnić wzajemny stosunek kronik tego okresu. Nad tym ostatnim więc jakoteż nad latopisem W. ks litewskiego — jestto rdzeń pracy — zastanawia się głównie prof. Szaraniewicz w swej rozprawie i przyszedł do bardzo ważnych rezultatów, które składa w formie przystępnej a zwięzłej. Najważniejsze z wyników są: wszystkie kroniki i latopisy średniego okresu mają wspólne źródło, którem jest kronika smoleńska; latopisiec wielkich książąt litewskich a właściwie jego pierwotne źródło wchodzi w skład kroniki litewskiej i latopisu wielkiego księstwa litewskiego i żmudzkiego; w kronice kijowskiej rękopisu supraślskiego i w latopisie wielkich książąt litewskich są ślady dwóch kronik. Najciekawszym jednakże rezultatem pracy są wiadomości o autorach kroniki.

Prof. Szaraniewicz przejrzał w tym celu bardzo sumiennie kroniki, zebrał skrupulatnie wszelkie wzmianki i wskazówki dotyczące autorów i podał nam o każdym z nich cenne wiadomości. Ważną jest okoliczność, że profesor zaznaczył tu na podstawie kronik samych zapatrywania polityczne autorów, ich stosunki do wysoko położonych osób współczesnych, bez czego brakłoby nam podstawy do ocenienia niektórych wiadomości kronik. Rozprawę zamyka porównanie i sprostowanie chronologii wypadków przez kronikarzów podanych.

Oto treść rozprawy!

Dodamy jeszcze, że pisana jest bardzo zwięźle i że autor ugrupował przedmiot umiejętnie. Rozprawa ta jest pierwszym krokiem do wypełnienia dotkliwej dotąd luki w naszej historyografii — a jej zalety czynią ją przystępną nawet nieobeznanym z przedmiotem.

Kończymy wyrażając nadzieję, że Sz. autor nie każe nam zbyt długo czekać na dalsze pouczające wyniki swych studyów.

K........i

Przegląd muzyczny.

Historyczne Koncerta po zeszłorocznych, tak świetnem powodzeniem w Krakowie uwieńczonych próbach teraz i do nas przez znakomitą ich inicyatorkę, Ks. Maryę Czartoryską wprowadzone, zainteresowały naszą publiczność nadzwyczajnie, tak że pierwszy z nich odbył się (d. 14. b. m.) w zapełnionej słuchaczami po ostatnie zakątki sali i utrzymał uwagę tychże we wzrastającem z każdym utworem zajęciu. Zaraz na wstępie wykonana — jak na szczupłe siły nasze zupełnie zadowalniająco pieśń „Bogarodzica“ podniosła nastrój słuchaczy do uroczystej powagi; trudnoby wyobrazić sobie utwór przy całej prostocie równie podniosły. I reszta choralnych kompozycyj, a zwłaszcza imponująca siłą, a zadziwiająca śmiałością w prowadzeniu głosów pieśń rokoszan (z r. 1606) wywarły głębokie wrażenie.

Z większem jeszcze zajęciem słuchaliśmy Fantazyi (Fm. op. 49. Chopina, której wstęp, niezmiernie uroczy i poważny, ze znakomitem zrozumieniem przez wykonawczynię oddany głębokie zrobił wrażenie. Dalszy przebieg fantazyi, niezmiernie obfitej w niespodziane przejścia, już tylko dla znających dokładnie ten utwór mógł być zupełnie zrozumiałym; zakończenie zaś prześlicznym swoim recitatiwem znowu cały ogół słuchaczy zachwyciło. Z nadzwyczajnem powodzeniem wykonał p. Wolfsthal Koncert militarny K. Lipińskiego, przy towarzyszeniu fortepianowem p. Dr. Mikulego. Wspaniały ten utwór, którym nieodżałowany nasz Lipiński zdobywał sobie w swoim czasie podziw świata muzykalnego całej niemal Europy, przedstawił nam p. W. z całem zrozumieniem: trudności techniczne jakby nie istniały dla niego, w kadencyi zaś, bardzo zręcznie do całości zastosowanej uwydatnił on mistrzowskie panowanie nad instrumentem i wprawił ogół słuchaczy w taki entuzjazm, że oklaskom zupełnie zasłużonym nie było końca.

Trudne po tem miała stanowisko pani S. a jednak wcale szczęśliwie się z zadania swego wywiązała; zwłaszcza miły Krakowiaczek Madejskiego, ogólnie się podobał.

Ustępu z kwartetu Noskowskiego nie mogliśmy już słyszeć, chcąc bowiem jeszcze przed wieczorem dostać się do domu a znając dokładnie przedpotowe urządzenie naszej garderoby koncertowej, musieliśmy wcześniej opuścić salę.

O ile mogliśmy zasięgnąć zdania innych kompetentnych osób, z jednego ustępu Kwartetu Noskowskiego nie wiele sobie obiecywać można po całości.

ZIARNKA.

Gdyby wszystkie piękne projekta, dotyczące pomnożenia funduszu pomnika Mickiewicza, przyjęły się były tylko u jednej setnej naszego „intelligentnego" ogółu — więcej jak pewna, że Komitet rozporządzałby obecnie kwotą, która niechybnie starczyłaby na okazały monument spizowy dla wielkiego wieszcza. „Opłatek Mickiewiczowski" przysporzył u nas ledwie paręset guldenów, choć po tym opłatku skonsumowano bez wątpienia ryb i bakalij, co najmniej za kilka kroć sto tysięcy! Inny projekt, któryśmy także swojego czasu zanotowali na tem miejscu — zaadresowany specjalnie do płci pięknej, mianowicie, aby panie zechciały używać w tym karnawale strojów jak najbardziej skromnych, a choćby część tylko oszczędzonej w ten sposób kwoty przeznaczyły na pomnik — przebrzmiał podobno bez żadnego odgłosu... Widocznie nie przemówił do przekonania „sfer decydujących" w naszej prasie codziennej, nie polecono go ogółowi, jak to przynajmniej częściowo stało się było z owym opłatkiem, i myśl, która mogła była przynieść funduszowi pomnikowemu przy jakiem takiem zainteresowaniu się nią, przynajmniej kilkadziesiąt guldenów, poszła do archiwum miljona niewykonanych projektów, — na wieczny odpoczynek.

W obec tego choćbyśmy znowu mieli być tylko owym „Janem wołającym daremnie na puszczy" poczuwamy się jednak do obowiązku, podać do wiadomości naszych czytelników, co następuje:

Jeden z czytelników warszawskiego „Tygodnia illustr." proponuje, ażeby podjąć wydawnictwo albumu Mickiewicza, sposobem fotodrukowym, na wzór wydanego w swoim czasie „albumu Kopernika". Czysty dochód, uzyskany z rozsprzedaży takiej publikacji, mógłby w pomyślnym razie przynieść kilkaset lub kilka tysięcy rubli, względnie guldenów, na cele pomnika. W albumie tym znalazłyby pomieszczenie podobizny portretów wieszcza z rozmaitych czasów, jego rodziców, jak nie mniej osób, które w bliższych zostawały z nim stosunkach. Widoki miejsca urodzenia, domów i miejscowości w których młodość swoją spędził, owego domostwa w Konstantynopolu, w którem skończył, dalej — ulubione i ciągle używane przezeń przedmioty, jak zegarek, laska, kałamarz, słowem możnaby tam pomieścić wiele rzeczy, które interesowałyby każdego, komu nieobojętne imię największego z poetów polskich. Oczywiście wszystko miałoby równocześnie tekst objaśniający, i w ten sposób album takie byłoby rodzajem illustrowanej monografii popularnej. Warszawa prawdopodobnie przedsięweźmie wydanie takiego albumu, i w ziemiach zabranych rozejdzie się na pewne parę tysięcy egzemplarzy. Ciekawa rzecz. ile ich zażąda Galicja?...

* * *

Czytamy w „Przeglądzie Tygodniowym": Ciekawa to rzecz, co robią warszawscy literaci, jeżeli jeszcze istnieje ten rodząj stworzeń w naszem mieście... Przeglądając tegoroczne prospekta, publikowane przez redakcje „warszawskich organów" wszędzie gdzie tylko znajdujemy listę współpracowników, spotykamy się z nazwiskami literatów lwowskich, krakowskich, poznańskich, słowem ze wszystkich części świata, prócz warszawskich. W prospekcie „Tygodnika Illustrowanego" na szesnastu wymienionych, tylko dwóch jest Warszawiaków, i tak mniej więcej wszędzie. Czyżby to była grzeczność dla gości? — czyżby nam zabrakło „naszych wielkich" miejscowych bożków? Istnieją gazety w Warszawie, jak np. Polska, które jedynie składają się z korespondencyj, podtrzymywane pracą korespondentów i żyjące ich myślami, ich zdaniem, gdyż z własnem nie uważają produkować się za stosowne. Inne pisma. jak Słowo lub Echo bardziej jeszcze postępują bez ceremonii, i obywając się bez utrzymywania korespondentów, wcielają do swych szpalt całe artykuły, przepisują rubryki i poglądy... Wygodne to niezawodnie, bo nie wymaga pracy i nie wiele kosztuje... Ale z tem wszystkiem, czy to dziennikarstwo? Przecież cała nasza wartość zależy na tem, ile nowych myśli zdołamy sprodukować lub przetworzyć do naszego użytku, ile świeżych sił przygotować jesteśmy w stanie do pracy społecznej i literackiej, Niestety, przygotowaniem reporterskiego bigosiku nie da się to zrobić... ale bo i reporterów zapisujemy sobie z Galicji, tak jak herbatę z Moskwy lub cygara z Hamburga. Górą światło warszawskie!

ZAPISKI.

Literatura.

* Krakowska Akademia umiejętności przygotowuje trzy publikacje ze zbiorów archiwum krajowego, aktów grodzkich i ziemskich w Krakowie, mianowicie projekt skróconego postępowania sądowego z początkiem XVI. w. z rękopisu współczesnego, „liber formularum" procesu polskiego i pozwy z czasów Zygmunta starego, ważne jako przyczynki do historji prawa i obyczajów XVI w.

* Slowansky Sbornik, którego jeden rocznik wyszedł w r. z., będzie i nadal wychodził zeszytami miesięcznemi pod tym samym kierunkiem Edwarda Jelinka. Pomiędzy współpracownikami spotykamy nazwisko Br. Grabowskiego, Kirkora, i Kraszewskiego. Pierwszy zeszyt już wyszedł.

* Niemieckie Stowarzyszenie miłośników literatury, rozpisało trzy konkursowe nagrody 4000 i 2000 marek za dzieło najlepsze, odnoszące się do dziejów rozwoju oświaty w Niemczech, jak np. wybitniejsza epoka rozwoju którego z ludów niemieckich, dzieje jednego z państw niemieckich w czasie jego rozkwitu, lub wpływ mężów, stanowiących epokę w dziejach narodu ze stanowiska politycznego, społecznego, literackiego, lub artystycznego. Termin nadsełania prac konkursowych naznaczono na 1. październik 1883.

* Dr. Aug. Mosbach rozpoczął druk dzieła w niemieckim języku pt. „Przyczynki do historji wojen francusko-niemieckich od r. 1800—1813, z pamiętników oficerów polskich". Dzieło to czerpane z materjałów, pozostałych po Bratkowskim, Dembińskim, Dobieckim, Gorajskim, Kieszkowskim, Wojciechowskim, Wybranowskim, Załuskim, Sokolnickim, Sułkowskim, Weissenhofie, Niemcewiczu i wielu innych, ma na celu obznajomienie Niemców, jaki udział i wpływ mieli Polacy w tych kampaniach.

* W Tyflisie przedsięwzięto wydanie zbioru starodawnych utworów literackich pt. „Klasycy gruzińscy". Zbiór ten rozpocznie się od poematu Czachodzego, który żył w XII. w. Oryginalny tytuł poematu: brzmi „królowa Tamara i jej mąż Dawid". Po nim nastąpią poezje ludowego poety gruzińskiego z XI. w. Dzagnakorolego.

Teatr i muzyka.

* H. Laube napisał nową komedję pt. „Schauspielerei", która ma być w lutym przedstawiona w wiedeńskim Burgteatrze.

* Franciszek Liszt bawi obecnie w Peszcie.

* Krystyna Nilson jest już zdrowa (chorowała na ból w krtani) i wystąpiła z ogromnem powodzeniem w New-Orleanie.

*Coquelin wyjechał już z Warszawy, i udał się na Wiedeń do Pesztu, gdzie rozpocznie szereg gościnnych występów w operze narodowej.

* Sardou pobiera tytułem tantiemy od przedstawienia „Fedory", 15% od brutto dochodu, co mu dotąd przynosi przeciętnie po 1300 fr.

* Znany pisarz francuski Juliusz Claretie pracuje nad nową tragedją pt. „Imperia" w której rzecz się rozgrywa za czasów panowania w Rzymie Juliana II. Nowy jego dramat pt. „Monsieur le ministre" ma być niebawem praedstawiony w teatrze „Gymnase". Korektę scenicznego utworu przeprowadził Dumas, za co otrzymać ma część tantiemy.

Sztuki piękne.

* Rzeźbiarz Otto w Rzymie ukończył olbrzymi posąg W. Humboldta, który stanąć ma u wejścia do uniwersytetu berlińskiego. Figura znakomitego wieszcza jest dwa razy większą od naturalnej wielkości.

Humboldt jest przedstawiony w pozie siedzącej, w długim surducie z odkrytą głową. Z ramion spuszcza mu się płaszcz, a w jednej ręce trzyma akt założenia uniwersytetu. Rzeźby na cokole przedstawiają figury alegoryczne: sprawiedliwość, archeologię i filozofię.

* Na pomnik narodowy dla Wiktora Emanuela, rozpisano znowu konkurs powtórny. Pomnik stanie na północnym stoku wzgórza kapitolińskiego w ten sposób, że główna oś Rzymu, Corso, wprost skierowaną będzie ku środkowi budynku. Powiadamy budynku, bo pomnik cały ma się składać z wspaniałych wschodów, z architektonicznej podstawy i statuy króla na koniu. Do konkurencji wezwano znów rzeźbiarzów z całego świata, wątpić jednak należy, czy po doświadczeniach pierwszego konkursu, ubiegać się będzie kto inny prócz Włochów. Termin nadesłania trwa do połowy grudnia r. b.

* Paweł Mantz, dotychczasowy dyrektor sztuk pięknych w francuskiem ministerstwie oświaty, z powodu kłótni z podsekretarzem stanu Logerotte, podał się do dymisji. Sprawami odnośnemi zarządza więc obecnie Logerotte, adwokat, który dobrał sobie do pomocy byłego inspektora sztuk pięknych Kaempfena.

MISCELANEA.

Znakomity myśliciel angielski, Herbert Spencer, urzeczywistnił nareszcie dawne swoje pragnienie zwidzenia Stanów Zjednoczonych, t. j. kraju w którym najwięcej może filozofia jego ma wielbicieli. Przyjmowany przez rozmaite stowarzyszenia naukowe z wielkiemi owacjami, miał sposobność wypowiedzenia na jednym z bankietów, którymi go uczczono, poważnej mowy, illustrującej z jednej strony charakter yankesów, a z drugiej — poglądy etyczne samego mówcy. Amerykanie, według niego, zanadto się oddalili od pierwotnego stanu cywilizacji, zanadto odbiegli od typu barbarzyńskich swych przodków, — nie znaczy to bynajmniej, by byli przecywilizowani, — owszem brak im jeszcze wielu cech, a przedewszystkiem owej łagodności obyczajów, która odróżnia głównie uspołecznionego w wysokim stopniu człowieka od dzikiego. Inaczej trzeba pojmować ową przesadę. Jak wiadomo, życie mieszkańca stepów i w ogóle wszystkich surowych plemion, bije nader nierównem tętnem. Wszystkie czynności jego uwarunkowane są jedną dążnością: zaspokojenia głodu. Niekiedy przez dni kilka żołądek jego próżnuje, to znowuż, gdy uda się upolować piękną zdobycz, dziki wynagradza sobie zbyt długi post i objada się do zbestwienia, by po kilku dniach w nową udać się pogoń za strawą. W ogóle charakterystyczną cechą takiego życia, jest nierównomierność, brak systematu, gorączkowość, zaspakajanie jedynie potrzeb chwili, i nieprzewidywanie tego, co nastąpić musi, lecz co się jeszcze czuć nie dało. W kraju ucywilizowanych dzieje się wprost przeciwnie. Wszystko tam idzie podług wielkiego pulsu społeczeństwa. Ani śladu dorywczości i lekkomyślności dzikiego; myśl o jutrze zaprząta umysł tak samo, jak i potrzeba chwili. Czasami nawet myśl ta absorbuje całkiem człowieka, odbiera mu wszelki spokój, nawet wtedy, gdy o wiele mniejsza doza przezorności wystarczałaby; jest to druga ostateczność: w nią właśnie wpadli Amerykanie. W swej niezmordowanej pogoni za karjerą, w bezustannej i po największej części nieuzasadnionej trosce o przyszłość — nie znają oni młodości. Gdzie spojrzeć, same siwe głowy. Spencer twierdzi nawet stanowczo iż amerykanie przeciętniowo o 10 lat wcześniej siwieją, niż mieszkańcy starego świata; zabijają się pracą przechodzącą wątłe siły człowieka, i stąd pospolitem u nich zjawiskiem, jest chorobliwy stan systematu nerwowego. Lekkomyślność dzikiego w odniesieniu do przyszłości, przeszła u yankesów w lekceważenie teraźniejszości. Wszystko dla duszy obałamuconej ciągłemi planami i kombinacjami, nic dla ciała, dla naturalnych i słusznych pożądań wykształcenia człowieka. To też myśliciel i poeta, którego stratę amerykanie teraz opłakują, Emerson, w swym „Szkicu o dżentlmenie“ woła: przedewszystkiem część zwierzęca musi być zaspokojoną, stosuje się to tak do człowieka, jak i do ojca, obywatela etc.

Jakiż wynik tego zapierania się swego człowieczeństwa i zrzekania się wszelkich jego przywilejów. Ten, iż gdy amerykanin gorączkowe krzątania się koło przyszłego dobra chce już przerwać jakąś estetyczną rozrywką, jakąś rozkoszą, nie umie jej użyć nie czuje jej widocznie sercem, lecz rozumem; chciałby wszystko ogarnąć jednym rzutem oka, byleby najwięcej zaoszczędzić czasu. Dla tego, powiada Herbert Spencer, że podczas gdy on i inni przez tydzień cały codziennie podziwiali wodospad Niagary, krajowcy bez odpoczynku spędzali przy jeziorze dzień cały, byleby nazajutrz nie potrzebować już przychodzić. Toż samo dzieje się, gdy oglądają np, osobliwości sztuki i natury Europy. Cierpią na tem zresztą nie tylko oni sami, lecz i dzieci ich, całe następne pokolenie. Wyradza się ono pomału, bo odziedzicza po ojcach słabe nerwy, zdezelowany organizm i też samą gorączkowość czynu. Podczas gdy powinno być wprost przeciwnie. Dzieciom przekazywać powinniśmy jak najwięcej sił fizycznych i moralnego zdrowia; powinniśmy, jeżeli już tak dbamy o przyszłość, postarać się i o udoskonalenie naszych potomków.

Ideały ludzkości zmieniają się z biegem czasu. Kiedyś, w starożytności — a i teraz jeszcze w wielu zakątkach świata a nawet Europy — najwyższą cnotą społeczną albo raczej antispołeczną, był możliwie wielki udział w wojnach: walka z sąsiadami nieumotywowana żadnemi pobudkami, prócz chyba instynktu krwiożerczego — stanowiła cel najwyższy, ku któremu dążyli wszyscy. Innemi pogardzono; pracę gospodarczą, jako niegodną mężczyzny, powierzano kobietom i niewolnikom. Rys ten w krajach oświeconych zredukowała kultura do minimum. W Anglii n. p. i Ameryce północnej nie istnieje on już prawie. To co ongi było uważane za hańbę, za upadlającą pracę, stało się chlubą i cnotą. Boga wojny i łupiestwa wyrugował Bóg pokoju i organicznej pracy, i gdzieindziej nawet za despotycznie rządzi ludźmi, jak to stwierdzają też same Stany Zjednoczone.

Czyż ideał ten będzie wieczny? Trudno przypuścić. Gdyby bowiem tak być miało, znaczyłoby to, iż ludzkość dosięgła już najwyższego szczebla rozwoju, i wyżej posunąć się już nie może. Spencer sądzi inaczej. Gdy to, około czego grupują się głównie dążności współczesnego człowieka, zostanie osiągniętem, gdy walka z naturą zakończy się zwycięstwem człowieka i odda główne jej siły na jego usługę, a według wszelkiego prawdopodobieństwa czas taki nadejdzie kiedyś, — wówczas będą musiały powstać inne ideały, inne cele.

Gdy John Sturt Mill, — powiada Spencer, którego był przyjacielem został lordem-rektorem instytutu St. Andreu, wypowiedział mowę cenną, jak i wszystko, co z pod pióra jego wychodziło, gdzie poruszył ten sam przedmiot. Utrzymywał on, że, „życie należy do nauki i pracy.“ Już wówczas, a teraz tembardziej, Spencer z zdaniem tem nie zgadza się owszem staje on nawet na stanowisku wprost przeciwnem. W zasadzie Milla, jak i wszystkich, co mniej lub więcej do niej się stosują, widzi on niewłaściwe akcentowanie środka i stawianie go na miejscu przynależnem celewi. Genezę tego powszechnego u ludzi zjawiska, obszernie przedstawił autor „Systematu filozofii syntetycznej“ w „zasadach etyki“. Wykazał on tam i szkodliwy w ogóle wpływ tej nieszczęśliwej manii człowieka, która sprawia, że po za drogą przeocza on metę, że utylitaryzm lub eudajmonizm bywa najniesłuszniej piętnowany, gdyż do nich w gruncie rzeczy daje się sprowadzić wszelka moralność. Otóż i praca bądź umysłowa, bądź praktyczna, sama przez się celem, a życie tylko środkiem nie jest i być nie może. Żyć to postulat pierwszy, naczelny; zapełnić to życie jak największą sumą szczęścia: to główne, przez samą naturę podyktowane zadanie każdego człowieka. Zaś praca wszelkiego rodzaju jest celowi temu podporządkowaną, jako droga do niego prowadząca. Skąpiec całujący złotą monetę i żyjący tylko myślą skupienia jej w największej ilości, musiałby „przyparty do ściany przyznać, że pieniądze to tylko środek, narzędzie“. Jeżeli przeto zapomina o tem, jest w stanie chorobliwym. W miarę postępu cywilizacji, wzrastać będzie i rozumna świadomość celu, i umiejętność redukowania środków do ich rzeczywistego znaczenia. Ewolucja dokona tego, że bezustanna praca przestanie być uważaną za cel życia. Nadejdzie czas, gdy prawa natury ludzkiej zyskają większe obywatelstwo, a na miejscu teraźniejszego apostolstwa pracy, zjawi się apostolstwo odpoczynku i szczęśliwości.

Treść:

Od Administracji.

Zwracamy jeszcze raz uwagę Szanownych Prenumeratorów naszych, że rozpoczęliśmy kwartał drugi, i chcemy uregulować nakład.

Prosimy o odczytanie ostatniego ustępu pierwszej stronicy okładki, gdzie są podane warunki przedpłaty.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Leona Zubalewicza

Odszczególnione pięcioma medalami zasługi i listem pochwalnym

za niezrównane środki

mianowicie:

ANTILENTILIA

usuwa piegi, opalenia słoneczne, plamy wątrobiane nadaje twarzy białość, delikatność i przejrzystość. Cena 1 zł.

WODA FIJOŁKOWA

nieporównany środek, usuwa z twarzy pryszcze, liszaje, trądziki, pierzchnienie i łuszczenie się skóry i wygładza zmarszczki, pory. Twarz odświeża i nadaje nieporównaną delikatność. Cena 1 złr.

MAGNOLINA

jedyny środek odświeżający płeć, skóra sucha, szorstka i zgrzybiała pod wpływem **Magnoliny** staje się miękką, przejrzystą i delikatną. **Magnolina** usuwa **czerwoność** nosa, niszczy **wągry**, t. j. czarne punkciki, które najwięcej osiadają w okolicy nosa. Cena tego znakomitego środka 1 złr. 50 ct.

WODA LILIJOWA

Plamy żółte, brunatne i ostudy z twarzy, szyi i piersi pod wpływem tej cudownej wody po kilkakrotnem użyciu zupełnie nikną. Cena 1 złr. 50 ct.

Orientalina czyli Pudr w płynie

nadaje twarzy prawdziwie naturalną twarz piękną i przyjemną białość, odświeża i konserwuje. Cena 1 złr.

PUDR KSIĄŻĘCY BIAŁY

jest prawdziwym unikatem **w sztuce kosmetycznej, nie zawiera bowiem** w swym składzie ani bizmutu ani ołowiu, ani też żadnych metalicznych pierwiastków szkodliwych zdrowiu, a pomimo tego przyjemnie przylega do twarzy, nadaje śliczną, naturalną i bardzo przyjemną białość i delikatność. Cena pudełka 1 złr.

PUDR KSIĄŻĘCY

cielisto-różowy dla blondynek i **cielisto-żółtawy** dla szatynek i brunetek po 70 ct., 1 złr. 20 ct. i 1 złr. 60 ct.

KREM ORJENTALNY BIAŁY

cielisto-różowy dla blondynek i **cielisto-żółtawy** dla szatynek. Kremy te czynią zadość wszelkim wymaganiom, nadają bowiem twarzy naturalną białość, delikatność i przejrzystość, a twarz martwa pokryta bruzdami, nierówno-szorstka, zostaje całkiem odświeżoną i młodzieńczą.

Cena 1 złr. 20 ct.

PILIPTON

włosom siwym i wypłowiałym po kilkakrotnem użyciu przywraca piękny kolor. — **PILIPTON** nie farbuje, lecz tylko odmładza włosy, który pod wpływem tego znakomitego środka odzyskują pierwotną barwę. Cena flakonu 1 złr. 50 ct.

WALENTIN

najsilniejsze wypadanie włosów w przeciągu dwóch tygodni wstrzymuje cebulki włosowe, wzmacnia i do wytwarzania i porostu włosów pobudza. Miejsca wyłysiałe nieprzedawnione pod działaniem tego środka pokrywają się pięknym włosem. Cały flakon 3 złr. Pół flakonu 1 złr. 60 ct.

NIGRETINA.

Po długiem doświadczeniu udało mi się wynaleść wyborny środek do natychmiastowego farbowania włosów na trwały i piękny kolor czarny lub ciemny; jest on zupełnie nieszkodliwy i w zastosowaniu bardzo prosty. Cena 1 złr. 2571 3-0 4

JAN IHNATOWICZ,

magister farmacji i chemik sądowy.

we Lwowie, ulica Kopernika l. 3, w Krakowie, Sukiennice l. 20.



Nowo urządzony handel

Herbaty chińsko-rosyjskiej

EDMUNDA F. RIEDLA

we Lwowie, plac Marjacki liczba 10

poleca zbioru majowego:

$1/5$ kilo

Congo . . nr. 1	zł. 1·60		Pecco . . nr. 6	zł. 3.
Souchong czar. 2	„ 2.—		Karawanowa . 7	„ 4.
„ zbiór maj. 3	„ 3.—		„ najprzed. 8	„ 6.—
Kaysow . . . 4	„ 4.		Gumpow. perl. 9	„ 3.—
Malang de Londres 5	„ 4.—		„ przed. 10	„ 4.—

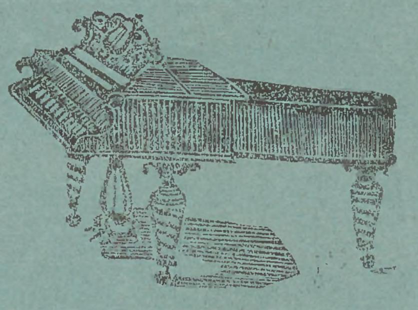
Herbata Souchong czarna, zbiór majowy, w oryginalnych chińskich skrzyneczkach i ołowiu opakowana, ważąca bez opakowania 700 gramów, czyli $1\frac{1}{4}$ funta wied. 3 zł. 50 ct.

Wysiewki herbaciane $\frac{1}{2}$ kilo zł. 1.20, z najlep. her. zł. 1.50.

Zamówienia z prowincji wysyła się odwrotną pocztą.

Opakowanie nie liczy się.

Gwarancja lat 10.



Gwarancja lat 10.

FORTEPIANY

z renomowanych fabryk

Hamburgera i Hofbauera

w Wiedniu

ma na składzie i poleca

A. ALSCHER

ul. Akademicka l. 26.

(Strojenia i reperacje **fortepianów i pianin** przyjmują się.)